MYŚL

TOMIK PRAC ZBIOROWYCH

OZDOBIONYCH DRZEWORYTAMI

WYDAŁ

HENRYK PRZYBYSŁAWSKI.

WARSZAWA,
W Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiej Nr. 1065.

1862.

MYŚL.

MYŚL

TOMIK PRAC ZBIOROWYCH

OZDOBIONYCH DRZEWORYTAMI

WYDAŁ

HENRYK PRZYBYSŁAWSKI.

WARSZAWA,
W Drukarni K. Kowalewskiego przy ulicy Królewskiej Nr. 1065.

1862.

Wolno drukować pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia (23 Maja) 4 Czerwca 1862 r.

Cenzor STANISŁAWSKI.

PRZEDMOWA.

Ogłaszając prospekt na dziełko niniejsze, miałem zamiar podnieść w niem wszystkie kwestje na czasie będące, przy pomocy zdolnych, doświadczonych i sumiennych współpracowników, których słowa znajdują wiarę — a czyny uznanie w narodzie.

Krótkość zakreślonego przezemnie czasu, liczne zajęcia skrzętnie pracujących literatów naszych — i wiele nieprzewidzianych trudności, stanęły mi na przeszkodzie do dopięcia zamierzonego celu.

Daję więc czytelnikom to tylko, co ofiarowała mi życzliwość bratnia — i dwa obrazki własnego utworu, prosząc dla nich o pobłażanie.

H. Przybysławski.

ARS LONGA, VITA BREVIS (*).

Gdy piersi kamieniem zawiści strzaskane
Na chwilę dźwięk duszy przytłumią,
Gdy struny serdeczne rdzą szyderstw skalane
Powtórzyć swéj nuty nie umią:

Gdy myślisz, że gwiazda przewodnia twéj duszy
W dłoń niecnych przebiegów schwytana,
Gdy myślą zobaczysz śród marzeń swych głuszy
Na licach najbliższych szatana:

Nikczemnyś, gdy zgrzytem znękany cierpienia,
Swe skrzypki, przebite gwoździami
Judasza, zawiesisz na krzyżu zwątpienia
I padniesz z zwisłemi rękami!

(*) Sztuka długa, życie krótkie.

Pierś twoja stroskana odżyje wskrzeszona,
Gdy oddźwięk ją czysty owieje,
I skrzypka rozbita na nowo zstawiona,
Zdrój pieśni głośniejszych wyleje.

I ogrom ci szczęścia nieziemskiéj potęgi
Wywoła dłoń jedna zachwytu,
I jedno ci serce z prostaczéj siermięgi
Wskrzeszone, da pomnik z granitu.

I płomień przycichły zniczowéj potęgi,
Gdy chowan jest w sercu olbrzyma,
Wichr duszy rozdmucha w tęczowych barw kręgi,
Że potop go pychy nie wstrzyma.

Twa gwiazda przewodnia, nie zgaśnie w zamęcie,
Lecz w słońca wzrośnięta koronę,
Spromieni banderę na życia okręcie,
I w cudów powiezie cię stronę.

Napróżno zaprzańcy twarz dłonią zakryją,
Żar słońca i dłoń im przepali,
I wszyscy, co żmii ściskali cię szyją,
Fenixem wraz będą witali.

Ty silniéj, jak onych dwunastu harfiarzy,
Dla braci pieśń zabrzmisz olbrzymów,
Pieśń w sercach ogniska ofiarne rozżarzy,
Ty będziesz proroczył z ich dymów.

Kto w smoka uderzył bez trwogi w ciemnicy,
　　Zkąd groza powiała,
Dla tego wszechgrzmiąca cześć wdzięcznéj ziemicy
　　Pod chmury pamiątkę sypała.

Kto śmiało uderza w rdzeń strasznéj drzewiny,
　　Gdzie gad się zajadły wylęga,
Choć legnie przywalon, to w miejsce ruiny
　　Serc pomnik w głąb nieba dosięga.

Bo taka jest siła Bożego natchnienia,
　　I władza porywów serdecznych—
I taka potęga wieszczego płomienia—
　　I taka moc pieśni słonecznych!

Józef Grajnert.

Tolerancja, emancypacja, równouprawnienie Izraelitów

Nieprzyjaciele postępu i oświaty ludzkości począwszy od Faraona, Hamana i Antyocha Epifana, aż do pogańskiego Rzymu, pod pozorem dbałości o dobro religji, prześladowali Izraelitów za wiarę w jednego Boga przedstawiając ich jako niebezpiecznych członków społeczeństwa, wyznających religję niezgodną z wyobrażeniami czcicieli bałwanów.

Rzym upadł, a z nim runęły posągi bożków i półbożków pogańskich, ustępując miejsce Bogu duchowemu Izraela. Ale nowi wyznawcy jedynego Boga, nie mogli się zrazu otrząsnąć ani z dawnych wyobra-

żeń o bóstwie, ani z przewrotnej polityki rządów rzymskich opartej na zasadzie rozdwojenia. I nie przestawano nadużywać religji na dopięcie celów religji przeciwnych i świętokradzkie ręce wznosiły znamiona: jedności, zgody, braterstwa na rozsiewanie nienawiści, swarów i wojny, a Izrael był zawsze kozłem ofiarnym na którym doświadczano środków rozdziału, między synami jednéj ziemi, między bratem a bratem, między narodem a narodem przez religję do wzajemnego miłowania przeznaczonych.

Lecz złość ludzka zapędziła się tak daleko, iż we fatalnym swym pochodzie, wstrzymać się już nie mogła, pociągając za sobą w przepaść rozdwojenia wszystko co po drodze napotkała. Ile razy przeto, choroba doszła do najwyższego stopnia niebezpieczeństwa, upamiętały się ludy, nastąpiły przesilenia społeczne z których każde było postępem i zwrotem ku błogości jaką Stwórca dla śmiertelnych przeznaczył.

Takiemi wypadkami były: wojny krzyżowe, wojna trzydziestoletnia i rewolucja francuzka, Na każdym z tych przewrotów

kształtu świata, ludzkość zyskała, te potoki krwi ludzkiej użyzniały pole postępu i oświaty a to co się ludzkości dostało w udziale spływało zarówno i na Izraelitów.

Bo kiedy duch oświaty i uczucie sprawiedliwości górę wzięły nad zaślepieniem i okrucieństwem, dziwiono się sobie samemu jak można było prześladować kogoś za przekonania religijne i wynaleziono wyraz: *„tolerancja”*; znoszono żydów jako złe nieuniknione, dozwolono im modlić się w jakimś brudnym zaułku, bez obawy być otoczonymi i wyrzniętymi, było się tyle łaskawym że im przeznaczono kawałek gruntu, gdzieby mogli bezpiecznie chować zmarłych, rzucano im okruszyny i kości ze stołu dla społeczeństwa nakrytego, we wszelkie dostatki obfitującego, bo najbrudniejsze sposoby zarobkowania, lichwa i handel starzyzną prawem im były zawarowane. Za to wszystko płacili pewne wyłączne na nich ciążące podatki, oprócz tych które zarówno ze wszystkiemi mieszkańcami do kass publicznych wnosili, boć kiedy kogo obcego *tolerują* u siebie, słuszna jest by się za to opłacił. A świat

klaskał w ręce z radości, zachwycając się nad swoją wspaniałomyślnością.

Ale duch oświaty uśmiechnął się pogardliwie na te ustępstwa — a sprawiedliwość bez wytchnienia kołatała u wrót zamków feodalnych, aż się nareszcie ze skrzypem rozwarły, i runęły mury, w których pod maską rycerstwa, ukrywały się: rozpusta, rozbój i bezrząd. Groźne głosy przyjaciół ludu, ozwały się śmiało i natarczywie i padły ostatnie zapory kastowe — pozory uciemiężenia, a oczyszczając się z pyłu, fanatyzmu, poznały ludy iż Izrael miał również prawo do wszelkich uciech świata, że i jemu miejsce się należy przy wielkim stole dla społeczeństwa zastawionym, że *tolerancja* nie jest jeszcze *sprawiedliwością*; nastąpiła więc „*emancypacja żydów* — usamowolnienie ich, jak Rzymianie dawniéj swych niewolników na wolność puścili..

A ta *emancypacja,* ileż ona walk kosztowała zanim ją przeprowadzono w Europie? Targowano się z swém uczuciem, stłumiono głos sprawiedliwości — z obawy aby nie zagłuszyła głosu rozumu i zaczęto mówić

o niedojrzałości żydów; boć *emancypacja* zawiera w sobie myśl niewolnictwa, a niewolnik nagle, bez przygotowania wolnością obdarzony, nadużywałby jéj, t. j. *wdzierałby się w prawa swego pana.* Czytając też rozprawy sejmu Drezdeńskiego, z roku 1844 względem przypuszczenia żydów do rzemiosł, rumieniec wstydu okrywa twarz naszą za wiek XIX-ty, oburzamy się na bezczelność z jaką gwałcono prawa ludzkości. Emancypacja wedle wyobrażeń materjalistycznych ludów środkowéj Europy uważaną jest jakby *podarunkiem* a nie *prawem*, każda przeto szczypta wolności niewolnikowi udzielana, jest dobrodziejstwem za które szlachetny dobrodziéj wdzięczności wygląda.

Słuchajmy na czem się opiera to skąpstwo prawodawców.

Religja na nieszczęście nie mogła im więcéj służyć za pozór, trudno już było odwołać się w XIX-tym wieku do tego co sami w innych okolicznościach przesądem nazywali.

Z większym przeto pozorem słuszności rzucono się na mniemaną narodowość ży-

dów. *Naród w narodzie!* ten zarzut krążył po całym świecie gdzie tylko kwestja żydowska była na stole.

Dowodziliśmy nieraz iż żydzi nie posiadają żadnéj narodowości. Palestyna jest w ręku muzułmanów, nie mają więc kraju rodzinnego, mówią wszelkiemi językami — tylko nie hebrajskim; ubiór ich również i obyczaje są tak różnorodne, jak narody między któremi przemieszkują.

Narodowość ich przeto, jest tylko mrzonką, urojeniem wypływającém z odrębności społecznéj, w któréj przez tyle wieków ich utrzymywano, i ten to właśnie brak ojczyzny rzeczywistéj, zwraca ich ku urojonéj ojczyznie, tam gdzie ich przyjęto do składu narodowego, żydzi w publicznéj, cywilnéj i wojskowéj służbie i w życiu prywatném są prawdziwymi obywatelami i z całą energją duszy łączą się z narodem który nie raz im zarzuca przesadę patrjotyzmu.

Inni stawiają za powód wyłączenia żydów od praw obywatelstwa, brak oświaty i przesądy religijne, twierdząc iż winni być przygotowanymi stopniowo aby stać się godny-

mi tego prawa. Ale żądanie takie jest krzyczącą niesprawiedliwością; jest to żądać po człowieku okutym w kajdany, aby się uczył sztuk akrobatycznych. Skruszcie pierwéj pęta wiążące mu ręce i nogi, wtedy dopiero będzie w stanie ćwiczyć się w sztuce .... tylko przy wolności osobistéj, przy nieograniczonem używaniu praw obywatelstwa, wyrabiają się cnoty obywatelskie.

Pytamy nareszcie tych mężów stanu: „Stawiając oświatę za warunek używania praw obywatelstwa, jakież pierwszeństwo przyznajecie tym z żydów, którzy pomimo nieprzebytych prawie przeszkód, wykształcili się, ucywilizowali się, z miłości dla nauk, z przywiązania do kraju, przed tymi do których oświata nie znalazła przystępu? Czyż głównym warunkiem zdobycia sobie waszych faworów, przemieszkiwania w waszém sąsiedztwie nie kładliście kwalifikacji majątkowéj bez względu na inteligencją i cnoty towarzyskie? Wyrzekacie iż żydzi gonią tylko za majątkiem, że są lichwiarzami, że się nie zajmują rolą, nie pomnąc iż sami ich do tego — nie mówię zachęcacie —

ale zmuszacie, prawem upoważniacie, powtarzając im na każdym prawie kroku: *bądź ciemnym, fanatycznym, nieokrzesanym, oszustem, zdrajcą— ale miéj pieniądze!* a salony nasze i dzielnice nasze stoją ci otworem."

Wszystkim w ogóle rycerzom stopniowego przypuszczania żydów do używania praw obywatelskich, stawiamy do rozwagi nadzwyczaj proste rozumowanie ekonomji socjalnéj: gdyby żydzi teraz stali nad granicą kraju waszego, i wysłali do was z prośbą o przyjęcie ich do waszego związku obywatelskiego, wówczas związek ten jako już ukonstytuowany, miałby prawo odmówienia wstępu przybyszom których uważa za nieoświeconych, niewiernych, wyróżniających się mową, obyczajami, ubiorem— lecz żydzi teraz nie przybywają, już od wieków u was się osiedlili, są więc z prawa narodów obywatelami waszego kraju, teraz już nierychło stawiać warunki, musicie ich *usamowolnić*, jak to nazywacie, takimi jakimi są; to rodacy wasi! przywary jakie w nich dostrzegacie nie ograniczeniami, ale prośbą, namo-

wą, radą, środkami jakich brat dla nawracania brata używa poprawić wam należy.

Pozostawionem było językowi polskiemu zastąpienie upokarzającego ustępstwa emancypacją zwanego, wyrokiem sprawiedliwością nacechowanym, orzekającym *równouprawnienie* wyznań.

Bez żadnych dyskussyi parlamentarnych, bez nudnych mów i odrazę wzbudzających targów o brudne względy materjalne, publicystyka polska w natchnieniu wyrzekła znaczące to słowo „równouprawnienie” i jednym zamachem obaliła całą sztuczną budowę feudalizmu, który pod rozmaitemi pozorami usiłował utrzymywać i podniecać rozdwojenie między rozmaitemi warstwami społeczeństwa, poczynając od ograniczenia praw obywatelskich żydów.

I kraj pojął całą ważność, całe znaczenie tego słowa, bo na odgłos jego zbladły struchlałe wszystkie podłe namiętności; to słowo postawiło obłudę bezsilną i bezbronną

w obec jednolitéj potęgi tych których krwią dotąd się karmiła. Rychłoli to nastąpi? nie rzecz nasza oznaczyć tę epokę, jest to rzeczą Opatrzności kierującéj losami narodów.

20 Kwietnia 1862 r.

Daniel Neüfeld.

DZIECIĘ

(Przekład z Wiktora Hugo).

O horror! horror! horror!..

(*Shakespeare—Macbeth*).

Turcy! Turcy tu byli! została ruina!
Chios, czarowna wyspa balsamów i wina
Sterczy nagiéj skały czołem.
Wczoraj jeszcze nad srebrną igrała topielą,
Sadów swoich zielenią, marmurów swych bielą,
Tańcujących dziewic kołem.
Dzisiaj tutej pustynia — dziś nikogo niéma;
Ale nie — greckie dziecko z modremi oczyma
Siedzi chyląc główki złotéj:
Nad niém biały głóg ściele drżącą smugę cienia,
Dwa kwiaty zapomniane w godzinie zniszczenia
Dwie żywe jeszcze istoty.

—„O biedne bose dziecię na samotnéj skale!
Z oczu twoich błękitnych jak niebo lub fale,
Cóżby otarło łez zdroje?
Cóżby w nich drgnęło iskrą owego wesela
Co z burzy płaczu, błyskiem pustoty wystrzela
Z pod rzęs takich ot, jak twoje?
Jak podnieść blade czoło schylone rozpaczą,
Rozgarnąć jasne włosy które nad niem płaczą
Jak gałęzie brzozy drżącéj?
Aby, kiedy wietrzyka przyleci tu tchnienie
Po śnieżnéj twojéj szyjce w złociste pierścienie
Rozsypały się niechcący:
Może dać ci na cacko tę lilję błękitną,
Któréj senne kielichy gdzieś w Iranie kwitną,
U wód tajemniczych brzegu?
A może jabłko tuby, z drzewa tak wielkiego
Że koń Araba chcący obiedz cieniem jego
Sto lat musi pędzić w biegu?
Lub wreszcie wolisz ptaszka z czarownéj dąbrowy,
Którego głos rzewniejszy od fletni wierzbowéj,
Brzmi czasem jak trąba króli?
Cóż cię nęci: ptak, owoc, albo cudu kwiecię?”—
—„Słuchaj! szepnęło greckie modrookie dziecię,
Ja chcę prochu, ja chcę kuli!”...

M. Ilnicka.

ROLNIK — POETA

(Obrazek z ducha prawdy).

W przygarbionej wiekiem lepiance, na słomianej pościeli legła złamana cierpieniem matka — wieśniaczka — i stłumionym jękiem boleści żegnała dziecię — sierotę.

— Synu! ostatnia dla mnie bije godzina; zostawiam cię Opatrzności; bądź mężnym, cierp, pracuj i módl się!

I pobłogosławiła zlodowaciałą ręką syna jedynaka — i położyła na jego czole ostatni pocałunek.

A syn stał nieruchomy przy łożu śmierci, z skamieniałą łzą w oku, z zamarłem słowem na ustach — i słuchał jak w piersiach

macierzyńskich przycichał powoli oddech żywota, — patrzał jak dusza matki opuszczała swą ziemską powłokę.

Nareszcie grobowa cisza zaległa przestrzeń w około trupa. Dzwony tylko kościelne rozniosły na wiatry smutną wiadomość o skonie matki wieśniaczki.

Na cmentarzu wiejskim przybyła jedna jeszcze świeża mogiła. Opuszczona przez sierotę lepianka runęła w gruzy.

I znowu wesołe płynęły piosnki wśród sioła. Zapomniano o śmierci kobiety. Jeden tylko młodzieniec nosił na sercu wyryty jéj obraz—a w uszach brzmiały mu ciągle słowa: „bądź mężnym, cierp, pracuj i módl się.”

Rok upłynął zwykłym trybem. Był dzień majowy. Nad brzegiem potoku pod cieniem płaczącéj wierzby siedział pastuszek i rzewną piosnkę grał na fujarce. Nieopodal grajka napasione bydlątka legły pokotem na trawie i przeżuwając surowy pokarm pozwracały łby w tę stronę, skąd tęskna, smętna, przeciągła płynęła nuta z majową wonią w przestrzeni. Różnowzore motylki

zwabione dźwiękiem rozgłośnym, wodne koniki, bąki, muchy i całe chmary komarów krążąc nad głową grajka, zdawały się przysłuchiwać owym tonom na pół dzikim, niby śpiew leśnego człowieka—i na pół już wyrobionym w sile uczucia i młodzieńczéj fantazji, niby pieśń alpejskiéj dziewicy. A w powietrzu po nad łąkami unosiła się plejada skrzydlatych piewców, wtorując dobranym chórem nucie młodziana.

Było to majowe oratorium odbyte w przyrodzie, pod jasném i czystém sklepieniem nieba, na którém zachodzące słońce uśmiechało się radośnie — a Bóg z góry błogosławił cudowne Swe dzieło ziemskiéj przyrody.

I znowu upłynęło lat kilkanaście od owéj chwili w życiu sielskiego grajka. Głośno brzmiąca pasterska fujarka wypadła mu z ręki, roztoczyły ją robaki; w miejsce jéj dorosły parobczak ujął w młodzieńczą dłoń ster pługa—i niby chirurg lancetem na stole anatomicznym, zaczął nim pruć wnętrze ziemi, szukając złotopłynnych arterji.

Dziwne przeznaczenie! Nasz rolnik pracował od rana do nocy, bo do pracy czuł

się stworzonym; uprawiał ziemię, siał, zbierał z niéj plony, bo w tém widział zapewnienie swojego bytu; pracował ciężko nad siły bydlęcia, bo głos matki rodzicielki z pod zimnéj mogiły wzywał go ciągle do pracy, bo sam Bóg wyrzekł niegdyś do człowieka: „przeklęta będzie ziemia dla ciebie, w pracy, z niéj pożywać będziesz po wszystkie dni żywota twego". Ale czy owa praca fizyczna przynosiła naszemu oraczowi to szczęście i spokój sumienia, jakie w prostaczych spostrzegamy umysłach? czy tęskna jego dusza unosząc się w niemėj modlitwie po nad krańce ziemskiéj przyrody, nie szukała gdzieś po niebie w mirjadach gwiazd, usłanéj dla siebie kwiatami drogi? czy ów rolnik przeczuł sercem przeznaczenie do wyższéj pracy nad tę, do któréj go od młodości przykuto? nie wiadomo.

Były chwile, w których młody nasz oracz przejęty jakiemś dziwném, niewysłowném uczuciem, stawał w miejscu jak wryty—i wlepiwszy wzrok w jeden przedmiot zdawał się weń wlewać swoją duszę.

Wstając o świcie razem z poranną jutrzen-

ką, patrzał nieraz na wschodzące słońce poprzedzone brzaskiem zorzy. Zdejmował wtenczas czapkę z głowy, silny rumieniec występował na ogarzałą twarz jego, oczy nabierały niezwykłego blasku, usta szeptały niemą modlitwę — a dusza wyrywając się z nieruchomego bo przykutego do ziemi ciała, na skrzydłach anielskich wzlatywała przed majestatyczną otoczony światłością tron Najwyższego.

Zaprawdę! była to jedna z owych uroczystych modlitw rozmawiającego z swym Bogiem stworzenia, którą chyba tylko Dante potrafiłby był wzniosłym wyśpiewać hymnem!

Czasami, gdy krając skibę usłyszał chrzęst lub trzask niezwykły płużną zdziałany łopatą, zatrzymywał woły i schylał się po wyorany z ziemi przedmiot. Była to czaszka ludzka lub kawał rdzą strawionej zbroi.

Ach! ileż wtenczas różnorodnych myśli przesunęło się po głowie zadumanego nad owém wykopaliskiem rolnika.

Ta czaszka którą trzymał oracz w ręku, mogła kiedyś obejmować w sobie największy

rozum, genjusz świata zapoznany od ludzi, mogła na sobie nosić książęcą mitrę, mogła być relikwją męczennika wiary świętej, obrońcy swobód i wolności ojczyzny lub jéj tyrana, mogła być wreszcie zwyczajną kością niewolnika, który przykuty do jarzma odbierał po niéj śmiertelne razy oprawców, który przeklął swe jestestwo i przed trybunał przedwiecznéj Sprawiedliwości zapozwał swoich ciemięzców. Któż to odgadnąć zdoła z tego spróchniałego szczątka? Kto wyczyta z niego przeszłość?

A na owéj rdzą zjedzonéj blasze jakież dzieje zapisane! Ileż ona zwiodła wojen, przewrotów, wstrząśnień politycznych? w jakich stronach świata zasłaniając sobą pierś rycerską, błyszczała swoim blaskiem nim legła w owem wnętrzu czarnoziemu na pastwę rdzy i wilgoci.

Czyż to nie najpiękniejszy poemat improwizowany przez naszego rolnika, który wpadając w zadumę nad owemi wykopaliskami stał w miejscu nieruchomy i nieraz w długim monologu wywodził swoje nad niemi domysły.

Prześladowała go za te wszystkie dziwactwa wiejska gawiedź, pogardzali nim rówieśnicy, nienawidziły dziewczęta, żałowali starzy — ale młody nasz rolnik chociaż cierpiał niekiedy męczarnie piekła na ziemi, znosił jednak mężnie swoje upokorzenie, bo słowa wieszcze rodzicielki dodawały mu odwagi, on czuł się mimo wiedzy wyższym nad drugich. Żył też więcej duchem niż ciałem, choć ten duch jako skrępowany więzami ciemnoty, brakiem wykształcenia, nie mógł się wznieść wysoko nad poziom.

Były jednak dla niego chwile niewymownéj radości i szczęścia na ziemi, mianowicie po spełnieniu dobrego uczynku. Wtenczas oblicze jego otoczone aureolą świętości i namaszczenia, jaśniało promieniem niebiańskiego spokoju, wzbudzając w prześladowcach mimowolną cześć i szacunek ku młodemu rolnikowi.

Ale bo też z dzikiem męztwem i odwagą rzucał się on nieraz w największe niebezpieczeństwa ratując mienie lub życie bliźniego!

Opinja ludzka względem niego dzieliła się na dwa rodzaje: jedni twierdzili, że nasz

rolnik trzymał z djabłem, drudzy zaprzeczając temu, utrzymywali, że go czarownice wodziły po Łyséj górze dręcząc w rozmaity sposób za to, że się nie dał przerobić na ich kopyto. Nikt zaś na prawdę nie był w stanie odgadnąć téj gorącéj duszy, nikt nie domyślił się powodu jego wycieczek w samotność i stronienia od ludzi.

Bądź jak bądź, życie naszego bohatera trawione jakimś wewnętrznym żarem, zabite zbyt silnem uczuciem, nie długo się przeciągnęło. Umarł w kwiecie wieku. Ani jedna łza nie popłynęła na jego pogrzebie. Smutne przeznaczenie!—

Pisząc to pośmiertne wspomnienie o człowieku, który przemknął jak meteor po zamglonéj ciemnotą atmosferze sielskiego żywota, nie możemy się wstrzymać od kilku uwag nad tym rodzajem zapoznanych istot. Nie ma wioski, nie ma prawie chaty wieśniaczéj, gdzieby się nieukrywał jakikolwiek ta-

lent, dusza obdarzona wyższym instynktem i silniejszą władzą umysłu. Wyższy ów instynkt w dwojaki objawia się sposób: albo w mechanicznéj zręczności skombinowanéj z duchowym pomysłem, albo też w uczuciowéj strunie serca nastrojonéj do dźwięku niebianki poezji. Nierozdmuchana ta iskra świętego ognia gaśnie zwykle przedwcześnie, bo ją uczucia potok zalewa, bo ją przygniata ciężar pracy fizycznéj, bo ją wreszcie zamraża nędza i ubóstwo.

Rok rocznie pośród sielskiego zacisza giną tysiącami podobne talenta; nikt jednak na nie nie zwróci uwagi, nikt ich nie wyrwie z zapomnienia, aby przywrócić sztuce to, co do niej należy.

Czyżby nie było pięknem i sprawiedliwem, gdyby przy rozbudzającym się u nas duchu narodowéj oświaty, mogło zawiązać się towarzystwo naukowéj pomocy, na wzór instytucji Marcinkowskiego, któregoby zadaniem było odszukiwać umysłowe zdolności— i te z pomocą wyższéj rozwijać nauki? Ach! bo ta nieuprawna duchowa niwa sielskiego ustronia nieprzebrane w sobie zawie-

ra skarby, nieocenione klejnoty nieoszlifowanego talentu! Tam jeszcze w zdrowém ciele gnieździ się myśl zdrowa, nieskalana trucizną obcéj doktrynerji; tam naród skarłowaciał na siłach fizycznych i duchowych, bo nie miał sposobności zetknąć się z obrzydłą zgnilizną moralnego upadku społeczeństwa.

Iluż to znaliśmy wieśniaków, obdarzonych naturalnym rozsądkiem tak zwanym owczarskim rozumem, w których tak wielka dała się często spostrzegać logika myśli i pojęcia o rzeczy, że gdyby ich los był powołał do innego życia, staliby się prawdopodobnie największymi w świecie dyplomatami!

Znamy wszyscy różne podania o mądrości polskich chłopków, którzy samego nawet djabła potrafili wyprowadzić w pole.

Nie mówiąc już o uczuciu poetycznem i śpiewności wrodzonéj polskiemu ludowi, o różnych mechanicznych zdolnościach objawiających się wszędzie po kraju, bądź to w wyrabianiu figur, krzyżyków, statuetek, zabawek dziecinnych i t. d. bądź też w pewnym stopniu znajomości architektonicznéj,

powiemy na zakończenie, że widzieliśmy nie raz wioskowych malarzy, niemających pojęcia o linji i cieniowaniu, którzyby jednak zawstydzić mogli niejednego szyldowego bazgracza. Sama więc natura ciągnie wilka do lasu; instynkt przemaga nad ciemnotą.

Ale dosyć będzie na tych kilku uwagach; mamy nadzieję, że one z *myśli* naszéj przejdą do myśli narodu, i że się z czasem zamienią w *czyn*.

FRAN. STASZIC.

PRÓBKA

ROZMÓW O LITERATURZE



Panna „Czytał pan Konrada Walenroda?”
Konkurent — Czytałem pani!
P. „Jakże się podoba?”
K. — *Bardzo ładna książka!*
P. „Cudna osnowa!”
K. — *Ale to musiało być bajka!*

DĘBY.

Ciche, samotne omszone — i smutne
W chełmach z jemioły i w pancerzach z kory,
Niby rycerze poważne i butne,
Wiekowe dęby wśród łąki zielonéj
Szemrząc i szepcząc wiodą rozhowory.
I jako owi lirnicy słowiańscy,
Stoją słupami przeszłości minionéj.
A co najstarsze i najwyższe głową
Niby w natchnieniu kapłani pogańscy
Suche prawice wyciągają w górę.
I zda się słychać ich przekleństwa słowo
I zda się widać — perkunową chmurę.

I o czem? o czem marzycie lat tyle?
Czy o tych czasach gdy pod waszym cieniem,
Pasły się konie i rycerze spali?
Czy wspominacie owe świetne chwile
Gdyście śpiewały liści waszych drżeniem;
I cicho było — tylko gdzieś w oddali,

Szmer orlich skrzydeł i brzęki bułata,
W takt się zlewały z waszemi pieśniami?
O! dęby moje! już śpiewacy owi
Porozbijani po wszech stronach świata;
Kości ich sterczą ludziom mogiłami,
A drogoskazem swemu narodowi.

Więc dziś samotne i niezrozumiane
Skarżycie tamtych którzy was kochali
Że świętą drużbę tak lekko zdradzili,
Że kładąc siwe głowy porąbane,
Ginąc wśród cierpień wam je przeżyć dali,
Was — rówienników odbiegli — rzucili!...
Że liści waszych na wieńce nie wzięli
By okalały bohaterskie czoła
I kloców waszych dla siebie na trumny?
Aby gdy kiedyś z téj zimnéj pościeli
Zbudzi ich trąba bożego anioła,
Stróż świętych prochów i dąb mógł być dumny?

Józef Narzymski.

NEKROLOG

(OPOWIADANIE KOLEGI SZKOLNEGO).

Przebiegałem ogród Saski, będąc w najgorszym humorze. Przyczyną tego złego usposobienia, był dosyć zwyczajny w życiu gazeciarzy wypadek: obiecałem dać na dzień następny stuwierszowy artykuł treści humorystycznéj, jednemu z redaktorów — a niestety! brakło i humoru i materjału.

Wstydziłem się pisać o wiośnie, o strojach, o szeptach złośliwych lub sercowych, jakie dają się słyszéć na przechadzkach, gdy jednocześnie przyszła mi myśl nowa do głowy i stanął przedemną, mój szkolny kolega Marcinek, mający lat 28 i urząd przynoszący mu dwa tysiące pensji.

— Czy szukasz materjału do gawędy gazeciarskiéj? zapytał.

— Już go mam! odpowiedziałem. Znalazłem w téj chwili.

— Więc o ogrodzie?

— Nie! O umarłych. Czytałem dzisiaj tak szumny — a tak nędzny nekrolog, że, sądze, w krainie wieczności, gdzie nawet duchy prostaczków powinny znać się na ortografji, stylu i ozdobach retorycznych, nieboszczyk będzie zaniepokojony, widząc imię swoje ubrane w tyle występków przeciw ukochanemu językowi jego ojców.

— Błędy uniewinniają się dobremi chęciami. Nie każdy kto umiéra, ma poetę do opiewania swych czynów.

— Ale jakież czyny zawołałem? Jan np. urodził się, chodził do szkół, wziął dzierżawę, powodziło mu się rozmaicie; ożenił się, miał znowu syna e. t. c. O czemże tu pisać? Po co nazwiskami takich bohaterów zapełniać szpalty gazet? Dać rubla na mszę, drugiego ubogim, trzeciego w dzień zaduszny na wypominki, to daleko lepiéj niż płacić za wydrukowanie nekrologu!

— Nie zgadzam się z tobą, zawołał Marcinek. Często w zaciszach, w zapomnieniu, rodzą się i długo walczą z losem wielcy bohaterzy. Znają ich tylko najbliżsi sąsiedzi, błogosławi im wdzięczne ubóstwo, godziż się wstrzymywać rękę przyjazną od poświęcenia słów kilku ich pamięci?

— Każdy z nas walczy, odpowiedziałem — a być poczciwym to powinność nie cnota. Cóż umarłemu przyjdzie z czczéj pochwały?

— Będzie zachętą dla żywych.

— Jak krewni i spadkobiercy zapłacą, to drogi nieboszczyk zostanie aniołem w gazetach. Próżność!

— Sądź jak chcesz, rzekł Marcinek, ale jeżeli masz czas, to pójdźmy w boczną ulicę — a powiem ci o sobie i o nekrologu.

— Ty i nekrolog?! Cóż to wspólnego? Czyś pisał?

— Nie! ale to długa historja.

— Posłucham dopóki nieznudzisz.

— To krótko zapewne, — będę jednak odważnym.

Usiedliśmy na ławce.

— Muszę zacząć od początku, rzekł Marcinek.

Nastąpiła chwila namysłu, po której mój kolega zebrawszy wspomnienia, tak zaczął opowiadanie:

— Mój ojciec, był nadleśnym. Życie leśnika — to jedyne, godne zazdrości urzędowanie!

Dzieckiem byłem, uczucia spały jeszcze we mnie jak przyszła piękność róży w jéj pączku, nie umiałem zdać sobie sprawy z moich wrażeń—a rwałem się do lasów: posłuchać tajemniczego drzew szumu — i spoglądałem na nie z taką czcią, jak gdyby z ich szczytów miało spłynąć na mnie błogosławieństwo i namaszczenie. To znowu, gdy rankiem, przed naszym dworem zebrała się gromadka strzelców ochocza, gdym ujrzał broń w ich rękach, ich torby borsucze, gdym usłyszał psów skomlenie, gdy trąbki myśliwskie zagrały — czułem — że o mało serce z piersi nie wyskoczy!

— Weźcie mię ze sobą! wołałem błagalnym głosem — ja nie boję się ani zająca, ani cietrzewia, ani.... sarny!

— Wilk zjadłby panicza! odpowiadał mi na to barczysty strzelec — Walenty Kuropieska, były żołnierz.

— To pozwólcie mi chociaż wymierzyć z fuzji do słupa.

I wiarus trzymał ciężki swój karabinek, z którego nie jedną kulę posłał w pierś ludzką — a ja przykładałem głowę do kolby, patrzyłem na cel przez chwilę i odbiegałem z radosnym tryumfem do matki, wycałowawszy myśliwych i ogary nawet.

Gdy strzelcy odchodzili, odprowadzałem ich do bramy, życzyłem im szczęścia, a następnie brałem fuzyjkę drewnianą, wołałem starego wyżła, który nie raz służył mi także za konia — i szliśmy oba na polowanie do ogrodu, które trwało dotąd, aż zawołała mię matka — do nauki. Nie stanowił jéj język francuzki, ale opowiadania pełne kolorytu, z pisma Ś-go — i nauka śpiewów historycznych. Późniéj dostawałem orzechów smarzonych w cukrze, miodu, cukierków, śmietanki, konfitur i wychodziłem z matką na spotkanie ojca.

Z nami, skończywszy robotę w domu szedł

stary krakus, co zaczął swą służbę pod panem Tadeuszem, a nie był ostatnim w boju, bo pokazywał mi osiem blizn: jednę od kuli, pięć od pchnięcia lancą i dwie od pałasza.

Matka — brała go, ażebyśmy nie zbłądzili w lesie — i aby mię niósł na rękach gdy się zmęczę. Dopełniał on z przyjemnością tego obowiązku—a ja bawiłem się z jego wąsami — i słuchałem jego opowiadań.

Wieczorem, po powrocie myśliwych, po obiedzie, gdy polowanie było pomyślne, gdy kilku wilków padło, za co rząd wyznacza nagrodę, strzelcy zostawiali w przedpokoju broń i torby, a nakarmieni — stawiali się po rozkazy w pokoju ojca, gdzie był duży komin z nanieconym wiecznie ogniem i gdzie już znajdowała się matka zemną.

Ojciec spoglądał na matkę, jakby prosząc ją o jaką łaskę, a ona, z uśmiechem i łagodnością, powtarzała razy kilka: „siadajcie moi kochani...", nim myśliwi usłuchali rozkazu i zajęli nizką, białą, dębową ławkę przy piecu; przynoszono dla nas herbatę, dla nich *krupnik*, zjawiał się stary krakus i niejaki Wesołowski, były podoficer od ar-

tylerji, pełniący wszystkie obowiązki od ekonoma aż do furmana, ale nazywamy kapitanem.

Może zdziwisz się, że cała służba moich rodziców, składała się prawie z samych wojskowych i że u nas panowała taka familjarność? Na to, muszę odpowiedzieć, że ojciec jako żołnierz, przytém człowiek nadzwyczaj prędki, nie mógł znieść zwyczajnego, chociażby najlepszego sługi, bo każdy wydawał mu się leniwcem — i gawronem.

Wyszukał więc byłych żołnierzy. Wolno im było jeść ile chcą, jeżeli któremu przyszedł apetyt, mógł prosić o więcéj, wódki nie żałowano im także, uważano ich jak przyjaciół, ale kiedy ojciec zawołał: „chłopcy, zróbcie to — szybko!" robota *paliła się* w ich rękach, aż słodko było popatrzeć!

Wesołowski, miał zapas niewyczerpanéj wesołości i dar improwizowania — a śpiewał zarazem swoje utwory. Gdy wszedł do pokoju, odsalutował po żołniérsku, wychylił miarkę krupniku, siadał na małym stołeczku wprost komina, późniéj ja sadowiłem się na jego kolanach — patrzyliśmy na ogień —

i zaczynał śpiewać, a dwie grupy: ojciec i matka siedząc w fotelach, strzelcy na ławkach, wlepiali w niego oczy i słuchali.

Pamiętam jednę tylko piosenkę utworu Wesołowskiego:

„Szumi bór, szumi bór, szumi dąbrowa,
O! niech no się nasz paniczyk prędko uchowa.

Zarży pod nim nasz bułany
Ja mu pałasz dam,
Co go w lesie zakopany.
Z karabinem mam!...

„Pędzi wiatr, pędzi wiatr, prost ku borowi,
Nasz paniczyk powié do nas: „bywajcie zdrowi!”

Nasz paniczyk mignie w lesie,
Zniknie pośród drzew;
Znać co niesie i gdzie niesie —
Porucznika krew!

„Zadrżał bór, zadrżał bór, czy to piorun trzasł?
Nie! to panicz nasz kochany tak na wroga wrzasł!

Próżno, próżno grzmią janczarki,
Żołnierz naprzód mknie,
A w około lecą karki
Gdzie pałaszem tnie!....”

Po zakończeniu śpiewów i wysuszeniu rondla z krupnikiem, strzelcy kłaniali się nizko i wychodzili uradowani—a w pokoju pozostawali rodzice, wzruszeni, uszczęśliwieni — i Wesołowski, któremu dawano szklankę herbaty z arakiem.

Gdy on pił, deklamowałem przed ojcem śpiewy historyczne, następnie brałem drewniany karabinek—i rozpoczynała się musztra. „Na ramię broń!.. Prezentuj broń!.. Do ataku broń!.. Krok podwójny! marsz! marsz!" komenderował mój ojciec, któremu oczy jaśniały radością, a Wesołowski poprawiał mię, przyuczał i prosił żeby mię nie uczono jednéj komendy: „Lewo — w tył — zwrot!"...

Ale opuśćmy te rozkoszne wspomnienia!..

W roku następnym straciłem matkę— i boleśnie czułem jéj stratę, chociaż w babce, nie rodzonéj, znalazłem wzór przymiotów macierzyńskich — i w gorzkich, rozpaczliwych chwilach mojego życia, gdym nic żyjącego kochać nie umiał — jeszcze były dla mnie dwa święte ludzkie imiona: matki — i babki.

Gdym miał lat 14, byłem w klassie 4 i otrzymałem przejście na piątoklasistę. Ocho! wtedy już nie przymierzałem fuzji bez strzału— a spudłować zdarzało mi się bardzo rzadko!.. Pomiędzy trofeami mojemi, pominąwszy cietrzewie, kuropatwy i jarząbki, liczyłem już sarnę, jelenia i dwóch *warchlaków* (*). Oko miałem nadzwyczaj bystrę; dla wprawy siedząc na ganku przed domem, strzelaliśmy obadwa z ojcem w dzień do jaskółek, wieczorami do lelków, kozodojami także zwanych — i do nietoperzy, bo lot tych ptaków jest bardzo nieregularny i trzeba dobrego strzelca, aby je sprzątał z łatwością.

Ale lasy pociągały mnie nie dla zwierzyny.

Wybiegałem sam jeden z fuzją i torbą, w której nosiłem oprócz naboi chléb i mléko. Szedłem zamyślony, deklamowałem głośno wiersze rozmaitéj treści, tworzyłem nowe i często znajdowałem się w głębi lasu

(*) Dziki.

nie wiedząc którędy powrócić. Ale to nie trwożyło mię wcale.

Kto ma broń nabitą — nie boi się nieprzyjaciela. W lesie jest zwierzyna, ogień łatwo rozniecić i nie ma powodu obawiać się głodnéj śmierci.

Siadałem na pniu starym lub spoczywałem na mchu zielonym, broń kładłem obok, tak, że głowa była zawsze na lufie a ręce przy kurkach i zasypiałem rozkosznie. Zbudziwszy się nie czułem już zmęczenia, wydostawałem mléko, chléb, posilałem się i marzyłem.

O czem marzyłem? Trudno odpowiedzieć! Wypadałoby się spytać o czem nie marzyłem?...

Cyganka idąca z Węgier, jeden dziwnie poczciwy melancholik — i wróżka żydówka, każde z osobna, przepowiadali mi że będę księciem, ale pierwéj wiele przejdę biedy.

Wiedziałem już że można adoptować, cóżby w tem było dziwnego, gdyby podobny kaprys przyszedł jakiemu bezdzietnemu księciu?

I znowu, miałem jakieś dziwne, nieprzezwyciężone przekonanie, którego (wyznaje szczerze), dotąd pozbyć się nie mogę: że zginę od kuli, która w sam środek czoła ugodzi.

Te dwie myśli, były nie raz tłem moich marzeń.

A cóżbym robił, gdybym został księciem? A za co mogę zginąć?...

Gdybym był bardzo bogatym, miałbym domek w środku angielskiego parku, otoczony wodą, — ptaszarnię, konie arabskie, pałasze z damasceńskiéj stali — a fuzje donośne jak piorun! Miałbym wybornych strzelców, szkółki w swoich dobrach, przeznaczałbym posagi dla dziewcząt, wsparcie dla kalek, dom schronienia dla starych żołnierzy — ach! i czarne charty — pinczery wyżły — ogary — jamniki!

W domku, miałbym pokoje urządzone jak wszyscy wielcy panowie: z gustem, wygodą — i przepychem, ale jeden, wyłączny, ulubiony — umeblowałbym według mojego kaprysu.

Lubię ogień — więc kominek rzecz pierwsza: alabastrowy rzeźbiony, bronzem i złotem przyozdobiony. Lubię mdłe światło, do zmierzchu podobne, więc ciężkie— z ciemnego kaszemiru firanki — służyłyby za tło innym, koronkowym. Lubię cichy chód w salonie — więc podłogę zasłałbym perskim dywanem. Lubię na miękkiéj sofie spoczynek — więc pod utrechtskim aksamitem, kazałbym nasłać samego puchu z szyjek łabędzich, abym tonął w miękkości, nie czując sprężyn, ale jakby podtrzymywany w powietrzu. Lubię niski taboret — i ten byłby z kości słoniowej. Na ścianach obicia ciemne perłami naszywane, podtrzymywane złotemi listwami. W czterech rogach bronzowe posągi: Kordecki, Czarniecki, Sobieski, Kościuszko.

Ale to jeszcze nie wszystko. Przecież nudno samemu?!...

Przed kominkiem — leży chart czarny ze złotą obrożą. Ja siedzę na taborecie — a przy mnie, przy nogach, na poduszce miękkiéj i kosztownéj, kobieta, niewolnica, ale cud między pięknościami — Lezginka.

Suknia jéj lekko fałdowana w rodzaju togi rzymskiéj, ciemna, z najdroższego kaszemiru; w stanie ściśnięta pasem szafirami nabijanym — a bogaty kinżał przy pasie; ramiona jéj odsłonione, snieżne, pełne i przezroczyste — rywalizują w białości z rąbkiem batystowéj bielizny; włos czarny — lekko rozpuszczony z pod zawoju, spiętego dużym brylantem.

W oczach ciemnolazurowych, omdlewające i pełne ognia spojrzenie; na twarzy przezroczystéj jak brzoskwinia przed zerwaniem, lekki, powiewny rumieniec; usta — w kształt serca wycięte z korala, ząbki — od kości słoniowéj piękniejsze; a oczy na mnie zwrócone, a usta dla mnie szepczą: tyś mnie pokonał, a białe rączki drobne, złożone na mojem kolanie jak do modlitwy....

A cóżbym robił z Lezginką?

Bawiłbym się z jej włosami, słuchał jéj pieśni, powtarzał jéj: ciebie Fatymo, mojego araba — i charta, nie oddałbym za obie Indje!

Nic — nic więcéj!...

I znowu przychodziła myśl: A dla czegóż zginę od kuli?

Cho! cho! cho! Przecież książątko nie zapomni że jest dzieckiem żołnierza — i wiecznie na puchu spać nie będzie?... Zbiorę skrzydlate i nieprzeliczone hufce — szybkie jak błyskawica, groźne jak pioruny, piersi zakuję w stal, stanę na czele i pójdę walczyć gdy wezwie swój czy cudzy, byleby w sprawie szlachetnéj i świętéj....

Tam legnę z chwałą!..

Raz, gdym tak marzył, usłyszałem lekki szelest za sobą — i jak gdyby westchnienie. Oglądam się — i uderza mię najroskoszniejszy widok: pod olbrzymim dębem stoi dziewcze wiejskie, *podlotka* (jak nazywają, bo najwyżéj jeżeli zaczęła rok 14-ty); w rękach — trzyma karbonki z jagodami, w zawiniętym fartuszku — ma grzyby, z pod chustki na głowie — wychylają się długie kędziorki ciemno-bląd włosów; na regularnéj, figlarnéj i ślicznéj twarzyczce, oraz w szafirowych oczach, widać jakieś zakłopotanie — nawet przestrach.

Przechyliła główkę — zdawała się przysłuchiwać — a w około było tak cicho, że słyszałem własne bicie serca. Usiadła na

mchu — ale nie dla odpoczynku, bo przyłożyła ucho do ziemi — i zawołała po chwili: O! Jezusie!”

— Co tobie, dziewcze? zapytałem.

Dziewczyna zadrżała, zerwała się, gotowa była pierzchnąć jak spłoszona sarenka, ale spojrzawszy na mnie — zarumieniła się, zniżyła oczki — i pozostała na miejscu.

Spojrzałem jeszcze raz na nią, na jéj ręce i nóżki, mogące służyć za model pod względem kształtów — i zapytałem:

— Czyjażeś ty?

Sołtysowa córka paniczu. Z matulą przychodziłam do nieboszczki pani. Magdusia, co to mi panicz raz dał piernika.

— Osiem lat pamięta taką bagatelę, pomyśliłem sobie — i zapytałem znowu: Czegoś się przelękła.

— Ej!...

— Powiedz, czy wilka?

— A to, paniczu, zbiérałam na *porębie* jagody z Urszulką, kiedy nas napadł syn gminnego. Ona uciekła, ja za nią, pogubiłyśmy się — ale słychać znowu że pędzi za mną na koniu — i krzyknęłam.

— Nie obawiaj się, tu gęstwina, nie zobaczy cię.

— Kiedy, proszę pana — już i koń taki nicpotem jak on, w największy gąszcz wejdzie.... Słyszy pan? jedzie!

Rzeczywiście, zaszeleściły gałęzie, dał się słyszéć chód konia — i jakieś mruczenie.

— Stań przy mnie! zawołałem na dziewczynę — i usiadłem na pieńku.

Dziewczyna — przytuliła się prawie do mojego ramienia — gdy na małym srokatym koniu, okazał się barczysty, zarumieniony wyrostek.

— A!... wiedziałaś Magdusiu, gdzie uciekać! odezwał się z nieukontentowaniem. No, pójdź, nie namyślaj się; kupię od ciebie w domu grzyby i jagody.

— Nie *pańskie doczekanie!* żebym z nim chodziła, odpowiedziała tak śmiało dziewczyna, jak gdyby gotowa była z pazurkami rzucić się na niego.

— Nie pójdziesz ty ze mną, to ja pojadę za tobą!

— Jedź ciele na cielęciu, ale sam!

— Słyszy pan, rzekł do mnie, co ona mó-

wi? i podniósł w górę gałąź tarniny, którą popędzał szkapę.

— „Słyszę" odpowiedziałem.

— I cóż pan na to?

— Każdy się broni — jak umié.

— Ale ona się nie obroni, zawołał schodząc z konia; ona musi zrobić to co ja chcę.

— Za pozwoleniem, rzekłem, biorąc broń do ręki.

— Co to znaczy?

— Że krzywdzić jéj nie pozwolę!

— Jakie pan ma prawo, mięszać się do nas?

— A pan dla czego napadasz ludzi?

— W tem! — moje prawo — zawołał pokazując pięść zaciśniętą.

— A moje w obydwóch lufach — odpowiedziałem odwodząc kurki.

— Pan byś mię zabił?

— Zabiję!

— A kryminał, Syberja?

— Gdzie świadkowie? Jest ziemia — dół się znajdzie, dęby nie wydadzą.

Syn wójta gminy stanął przedemną, jak gdyby namyślając się: czy nie można odebrać mi broni? Z téj chwili skorzystała dziewczyna i odwiązawszy stojącego na boku konia, uderzyła go prętem. Srokacz, drapnął ku domowi—a jego pan obawiając się aby nie zginął, lub też, aby papa nie sypnął mu *memorandum* za puszczenie konia samopas, zawołał: „pomszczę ja się!" i drapnął za swoim *Rosonantem.*

— Bóg zapłać paniczowi! szepnęła dziewczyna — i zakłopotała się znowu.

— Czy boisz się jeszcze Magdusiu?

— Nie. . . . ale. . . .

— Mów szczerze!

— Czy mi panicz zabierze jagody i grzyby?

— Dla czegóż miałbym zabiérać?

— Bo strzelcy — to wydziérają jak zobaczą. Mówią że rządowe.

— Ja nie jestem strzelcem, odpowiedziałem z uśmiechem, nie zabiorę ci.

— Pan jest student.

— A tak —

— Że się to panicz tak długo nie może nauczyć w klassie, toć już piąty rok.

— A zkądże wiesz o tém?

— Jak na wsi mamunię wspominają — to gadają i o paniczu... Co tam myślą w domu?

— Dawnoś wyszła?

— Po śniadaniu.

— Musisz być głodna?

— Nie! jadłam czarne jagody; tylkom się zmęczyła.

— To usiądź, odpocznij.

— Bóg zapłać paniczowi, muszę wracać.

— A jak cię znowu zaczepią?

— Cóż poradzę nieboga? Będę krzyczała: gwałtu!

— Zaczekaj lepiéj chwilkę, będę wracał, to pójdziesz ze mną.

— Jakże ja będę szła z paniczem?

— Piechotą.

— To prawda, ale....

— Boisz się?

— Nie!.. odrzekła z figlarném zakłopotaniem.

— Usiądź!...

Dziewcze usiadło po chwili namysłu na sposób turecki, nie śmiejąc podnieść oczów.

— Alboż ona nie piękniejsza niżeli jakaś Fatyma? alboż ściany dębów i sklepienia nieba, nie najozdobniejsze? Ogień i tu mieć można!... Gdyby nie pożywienie, okrycie i zima — sambym ją zatrzymał i zostałbym wolnym strzelcem; marzyłem patrząc w zarumienioną twarz dziewczyny.

— Magdusiu! spójrz na mnie! zawołałem.. Dziewczę spojrzało, ale jakaś trwoga niewieścia, widoczna była w jéj twarzy.

— Mogłabyś ty mię kochać? zapytałem się jéj.

— Ej!... rzekła drżącym głosem....

— Nie podobałem ci się?

— Pan jest panem, a ja chłopka. Ja po *pańsku* nawet mówić nie umiem.

— Twoje oczy mówią za ciebie — i dużo mówią!!

Dziewczyna milczała.

— Mówisz żem ja *pan*, więc kochać mię nie możesz — a czy nie pod jednem żyjemy niebem, nie w jednego Boga wierzymy, nie jedna karmi nas ziemia, nie jedne drzewa nam szumią, nie jednem oddychamy powietrzem?

— Ale.... ja tam głupia.... tylko to zawsze pan z panem się wdaje, równy równego prędzéj zrozumié.

— Nie wierz temu moja Magdusiu, to taki stary przesąd tylko. Ze mną do szkół chodzą i synowie chłopów i bardzo bogatych panów, a wszyscy potrafimy się zrozumiéć, bo nas zrównała nauka. Gdybym i ciebie nauczył różnych rzeczy, a potem ubrał w jedwabie, byłabyś taką jak każda księżna; ale strój szczęścia nie daje, nie zazdrość paniom....

— Nie zazdroszczęć ja paniczu, ale to ładniéj we wstążkach przy warkoczu i koszuli; ładniéj we wzorzystéj chustce niż tak.... Toć i święte na obrazach, chociaż były święte — a takie ubrane....

— Córka Ewy! — pomyśliłem — i zapytałem: czegóż ty pragniesz najbardziéj?

— Paciorków na szyję — (bo korale to drogie) — pierścionków z Matką Boską — i wstążek szérokich, czerwonych i niebieskich. Dwa razy na tydzień noszę jagody do miasta, to może sobie uzbiéram? ale panicz się śmieje....

— A gdybym ci też kupił to wszystko, kochałabyś mię?

— Bo to za to kochają?

— Za cóż więc?

Dziewczę głośno westchnęło.

— Ty widać kochasz już kogoś?

Rumieniec kilkakroć ukazał się na jéj twarzy — i zniknął.

— Powiedzże mi kogo kochasz?

Milczała.

— To powiédz za co go kochasz?

— Za nic — szeptała: bo ja wiém.... pójdę już paniczu.... zmierzch.... tak mi się gorąco robi.... i zdawało się że dziewcze drży, nie ruszając się z miejsca....

Usiadłem przy niéj, drżała jak listek róży.... w tém, zając pomknął (zapewnie zdemoralizowany czułościami dzieciaków); chwyciłem za dubeltówkę — i położyłem go na miejscu.

— Pójdźmy do domu! krzyknąłem radośnie — pokażę zdobycz ojcu! i zapomniałem o czach Magdusi, bo to było w 14-tym roku życia.

A ona? Zapewne zlękła się strzału, bo nie podzielała mojéj radości....

Zbiegł znowu rok i drugi... Ważna we mnie nastąpiła odmiana...

Dawniéj lubiłem wszystko co uderza swoją pięknością lub majestatem zewnętrznym, nieumiejąc jeszcze widzieć oczami duszy. Lubiłem lazur nieba bez chmurki, lubiłem olbrzymie góry, śpiew słowika, rzewne dźwięki melodji; lubiłem zaglądać w przepaść, wchodzić na skały strome, jeździć na koniu szalonym, słuchać gromów i wycia burzy — ale nie umiałem sobie zdać sprawy, co mię pociąga ku tym przedmiotom.

Gdy nauka rozwidniała co raz moje pojęcia, gdy przeczytałem setki prac literackich, gdym poznał całe bogactwo naszéj poezji, uczułem że mam serce, które nie kształcone wtedy, drgało instynktowo na widok *piękna* — bo nawet i burza ma swoje *piękno* artystyczne; noc ciemna — jak dno otchłani, grzmot — co odzywa się we wnętrzu ziemi, błyskawica — co jak krew z czary ofiarnéj — purpurą wszech-świat zaleje, piorun—

co wstrząśnie piersią Tatrów, lwa w drżące dziecię zamieni, to piękno burzy!

Jest nić tajemnicza wiążąca *piękno* złożone w sercu naszém — i *piękno* w naturze. Gdy często poddajemy się temu uczuciu, gdy nie przytłumiamy go innemi myślami, rozrasta się ono w nas do kształtów olbrzymich, wiedzie nas w świat ideału, którego początkiem jest serce kobiety, a końcem — sam Stwórca.

Serce nasze — otwiéra się wtedy jak kielich kwiatu do uścisków słonecznych — i z tęsknem upragnieniem, oczekuje kapłanki, według pojęć jego stworzonéj — ażeby na ołtarzu poświęceń złożyć jéj wszystko, co jest niższem od takiéj czci, wszystko, prócz honoru, rodziny i Boga!...

Nie mówię tu o różnicy mitry i korony szlacheckiéj, o przesądach rodowych, ale o honorze, który od stóp kochanki — odrywa nas do czynu za świętą sprawę; od jéj uśmiechów — na otarcie łez, tym co nam dali życie.

Przed świątynią tego dziewiczego serca, stają tłumy kapłanek, ale zatrzymują się

w przedsionku — bo nie znają zaklęć tajemniczych które wymienić potrzeba. One wiadome są jednéj tylko, ta się zbliża, wszystko przed nią stoi otworem, zaczyna się ofiara — a jeżeli odejdzie od ołtarza, świątynia na zawsze zostaje zamkniętą, a duszą jéj — jest tylko wspomnienie!

Długo wzdychałem do takiego ideału — i długo znaleźć go nie mogłem.

A nie sięgałem po niego w wysokie sfery towarzystwa. Księżniczka czy wieśniaczka wykształcona, byle posiadała przymioty jakich żądałem, to było dla mnie wszystko jedno!

Może śmiać się nie będziesz ze mnie tak jak inni, zawołał Marcinek, bo kto bierze pióro do ręki, ten serce przynajmniéj mieć powinien, gdy ci powiem: że wdzięki Magdusi i jéj skromność co raz silniejsze wywierały na mnie wrażenie.

Zasłaniałem ją przed napaściami syna wójta gminy, rozpacz mię porywała na myśl samą: ile to demoralizacji wnoszą podobne kreatury pod patryarchalne dachy naszych wieśniaków, dziwiłem się ich cierpliwości

niewolniczéj z jaką połykają hańbę, stawiałem się w położeniu ojców pokrzywdzonych i mężów; o! na wsi, roznamiętniony jak dziecię natury — inaczéj czułem wszystko.

Chciałem wystąpić do boju z przesądem. Uczyłem przez całe dwa lata moją Magdusię, tłómaczyłem jéj wszystko co dla niéj było tajemnicą, cieszyłem się widząc ją zachwyconą nad ogromem i pięknością świata i marzyłem (tylko nie szydź ze mnie!), że pozostał jedyny środek odrodzenia dla zniewieściałych panków, przez danie ich dzieciom matek z gminu, podniosłszy je wykształceniem.

Nie wiem jak byłbym skończył ów bohaterski rapsod mojego żywota, gdyby śmierć ojca nie była zniweczyła planów moich.

Wiesz, co uczciwy urzędnik, zajmujący małą posadę może zostawić dzieciom.

Pożegnałem miejsca, do których przyrosłem sercem i wspomnieniem, zabrałem szczupłą spuściznę, rozstałem się z moją wychowanką nie mogąc jéj powiedzieć: „wrócę!” i udałem się do Warszawy, aby zostać urzędnikiem.

Gdym wydał cały kapitalik odziedziczony, gdym przebolał Bóg wié ile cierpień, sprzedając na chléb powszedni rzeczy po rodzicach, z których każda była dla mnie świętą pamiątką, gdy z oschłem od gorączki podniebieniem, ciążącą od bezsenności głową, w odzieniu wytartem, niepoznawany od kolegów, których kochałem jak braci—przebiegałem nie raz bruk miejski, gdzie brud i przepych, nędzarz i magnat rzucają sobie szyderstwo i nienawiść; gdzie tak mało nieba widać nad kamiennym grodem, gdzie możesz skonać jeżeli wstyd nie dozwoli ci biedz za karetą bogacza i wołać: jałmużny, lub stanąć w rzędzie wyzutych z uczuć ludzkich stworzeń i przed kościołem mięszać klątwy z pacierzem; gdym wszystkie prawie przeszedł cierpienia, dostałem po latach 8-miu pracy krwawéj, 2,000 złotych pensji rocznéj.

Odżyłem z radości, bom zwątpił czy dosłużę się kiedy jakiegobądź wynagrodzenia. Nadzieja wstąpiła we mnie; niby arab—znalazłem źródło — konając z pragnienia!

Najpierwéj pomyśliłem o garderobie.

Gdym ją skompletował przy pomocy kredytu, znaleźli się zaraz znajomi, zaczęto mię zapraszać do towarzystw, podobno wyładniałem nawet — bo od tego czasu, panny na przechadzkach zaczęły spoglądać na mnie.

Kilka łokci zeszytego sukna, jaką wielką przynoszą odmianę!...

Opowiem ci jeszcze jeden wypadek! zawołał Marcinek, uważając że słucham jego opowiadania. Na pół roku przed dostaniem pensji, byłem zaproszony do jednych państwa, którzy niegdyś żyli w przyjaźni z moimi rodzicami. Gości było dosyć, częstowano nas suto — jadłem za dwóch, bo od ośmiu dni nie miałem obiadu dla braku funduszu.

Przez cały czas siedziałem na stronie, nieśmiały, smutny, tylko gospodyni domu dostarczała mi ciągle przekąsek; rzecz naturalna, że wszystko co mi dano mogłem zjeść— ale pamięć o głodnem jutrze, skłoniła mnie do tego żem nieznacznie schował puterszmit do kieszeni — i dla niezwrócenia na siebie uwagi, przybliżyłem się do towarzystwa.

Rozpoczęto gry, pomiędzy innemi, graliśmy w pierścionek. Trzeba wypadku, że sznurek pękł i pierścionek, jednocześnie zniknął — a miał dużą wartość.

Szukano go wszędzie — ale jak kamień w wodę rzucił. Jakiś elegant, zaproponował abyśmy wyszli do osobnego pokoju i dla usprawiedliwienia się zrobili wzajemną rewizję.

Przystałem na to pierwszy — aż przypominam sobie, że w kieszeni mam chléb i mięso. Rumieniec wystąpił mi na twarz. Przejrzano rzeczy wszystkich — pierścienia nie było. Aby nie wstydzić się biédy, wolałem popaść w daleko silniejsze podejrzenie i rzekłem stanowczo:

— Ja daję słowo honoru! na to że pierścionka nie mam, rewidować się nie pozwolę — a kto na tem nie poprzestanie, dam mu satysfakcję.

Wszyscy spojrzeli dwójznacznie. Zdawało się że czytam na ich twarzach: — Któżby walczył ze złodziejem? — Straszna to była chwila ale Bóg ją skrócił: gospody-

ni bowiem wbiegła wesoło i zawołała pokazując pierścionek:

— Znalazłam! Był u mnie za gorsem!....

Sądziłem że otrzymawszy posadę, będę zupełnie szczęśliwym. Gdym spojrzał w siebie, zdawało mi się że innego, złamanego spostrzegam człowieka, rozmyślałem jak wrócić do dawnéj swobody, gdy (na nieszczęście) spotkałem moją wychowankę: panią w jedwabiach, koronkach, atłasach. Jakiś wojskowy, kwaterujący we wsi zbałamucił ją — i wywiózł. Reszty domyśl się! Gdzie znajdzie sprawiedliwość na pana, co majątkiem i znaczeniem, osłoni się niby tarczą siedmioskórną? Jęk ojca, starca, trafi — ale do Boga tylko.

Spotkanie z tą dziewczyną strasznie oddziałało na mnie. Położyłem się tego wieczora w gorączce i śniło mi się żem umarł. Wieko trumny prostéj, było niedomknięte i widziałem przez szczelinę cały kondukt pogrzebowy. Szło dwóch księży, dwie kobiéty w wieku — i kilku starych ludzi, udających się na Powązki ażeby odwiedzić groby swych synów i wnuków.

— Wszystko skończone! pomyśliłem. Marzenia — pierzchły; uszlachetniałem wieśniaczkę, broniłem ją — i dożyłem jéj niesławy; pracowałem o chłodzie i głodzie, wysłużyłem sobie pensję — aby mieć czem pogrzeb opłacić. A jednak, mojaż to wina, że nie mając środków odpowiednich, nie mógłem działać w większym zakresie? Pragnąc nauki — zostałem niedouczonym, kochając naturę — musiałem przykuć się do murów, chcąc uszczęśliwić ludzkość — umierałem z głodu, pracy i znużenia.... Dziwne jest to życie! ale żałowałem go, bom czuł jeszcze dosyć sił do walki, w piersi na pozór umarłéj, bom pragnął innym oszczędzić cierpień, których doznałem!...

Ludzie nie wiedzieli o tem, żem dobro ich miał na celu — a ja sądziłem że powinni byli wiedzieć — i miałem żal do nich że nie idą za trumną, pożegnać mię westchnieniem chociaż jednem.

Już byli ze mną blisko Powązek, już gorzki tylko uśmiech osiadł na moich ustach, gdym spostrzegł ciebie Henryku.

Szedłeś z odkrytą głową, zapisywałeś

dzień mojego urodzenia, odgadłem że masz zamiar pisać *nekrolog*.

Nie uwierzysz — ile myślą zasłałem ci błogosławieństw! Nie próżność mną powodowała, ale myśl — że druk rozniosłszy imię moje po świecie, za pracę, ból i niedolę da mi najsłodsze wynagrodzenie, bo imię to, powtórzą szkolni, szczęśliwych lat towarzysze, gdy człowiek miał anielskie marzenia i czystość.

Wszak to nie próżność?!—

Opowiadanie Marcina, powstrzymało mię od napaści na nekrologi. — Iluż podobnych jemu zabiła praca i niedostatek? Od świata — należy się im chociaż wspomnienie, gdy za życia nie mieli od ludzi pomocy.

M. Przybysławski.

KOBIÉTA.

Kobiéta, co serca gorącym płomieniem
Osłodzić bliźniego los zdoła,
Nadziemskiem prawdziwie jest ziemi stworze- [niem,
W ziemianki postaci—ma duszę anioła.

Kobiéta, co w rany cierpiącéj ludzkości
Rozlewa balsamy osłody,
Najwyższéj jest godną na świecie miłości,
Nadziemskiéj jest godną nagrody.

Kobiéta, co sercem przeniknie, zrozumié,
Co duszą — i prawdę i prawość oceni,
Ta pewno i serca i ducha nie zmieni,
Bo kochać prawdziwie i zdolna — i umié.

Kto z taką złączony węzłami świętemi
Na morza nieznane przeznaczeń popłynie,
Ten śmiało bój stoczy z falami groźnemi,
Ten pewno do portu zawinie.

Rom. Larecki.

MATKA I SYN



Matka. Polowałeś?

Syn. To najmniejsza — ale piłem jak Konarzewski! Sześć butelek wysączyłem do dna!!..

M. W osiemnastym roku czy nie zawcześnie?

S. Chcesz więc matko abym umarł, niewiedząc czem byłem?

M. Genjusz!!

WOLA I WULKA

NAZWY WIOSEK BARDZO U NAS UPOWSZECHNIONE

Przebiegając kraj nasz w różnych kierunkach, nie można prawie jednéj spotkać okolicy, w któréjby się nie znajdowała wioska, zwana Wolą lub Wulką, należącą do sąsiedniéj majętności lub od niéj oderwaną. Przyczyna téj nazwy tak u nas często napotykanéj, jakkolwiek znana bliżéj obeznanym z historją narodu, ogółowi nie jest jednak dostatecznie świadomą, chociaż wiąże się z przeszłością kraju, z jego urządzeniem społeczném i z myślą zasadniczą naszego społeczeństwa. Wyjaśnienie zatém historyczne tego przedmiotu nie będzie bez pewnéj korzyści, zwłaszcza że rzuci światło, na nie je-

dnę dziś toczącą się sprawę, i złagodzi sądy, często zbyt porywczo wydawane.

Kiedy porządek społeczności naszéj przedchrześcjańskiéj, przez zaborcze napady Germanów, psuć się zaczął powstawaniem drugiéj klassy w narodzie zwanéj Lechami obowiązanéj do ciągłéj obrony kraju, w ówczas wojownicy ci za męztwo swe i poświęcenie wynagradzani dziedzicznemi nadaniami pustych obszarów ziemi, starali się o ile można zaludniać je roboczą ludnością, któraby i grunt przemieniała w żyzną rolę, i zapewniała stały przychód z nadanéj własności.

Z tego powodu w kraju naszym dwa powstały rodzaje własności ziemi przez kmieci posiadanéj: jednéj odwiecznéj i dziedzicznéj zarazem, drugiéj czasowéj, tak co do lat jak i obowiązków ściśle określonéj.

Cząstki kmiece dziedziczne pochodziły jeszcze z dawnych wieków, kiedy rady zebrane na kmiotach czyli zjazdach narodu, ziemie dzieliły i rozdawały ludności pod pewnemi obowiązkami jakie jednostki winne są społeczeństwu do jakiego należą. Ze wzrastaniem powagi Lechów z któréj szlachta

z czasem powstała, i z tworzeniem się u nas rządu monarchicznego, władze i prerogatywy skupiającego w ukorowanéj głowie, dążącéj ciągle do samowoli, kmiece te posiadłości przyłączano do własności szlacheckich czyli Lechów, i obłożono je nowemi powinnościami, na korzyść właścicieli owych większych posiadłości.

Mimo tego, własności te kmiece, nie mogące się dzielić pod żadnym pozorem, oprócz obowiązku ujszczania się z narzuconych im powinności, żadnym innym nie ulegały ściśnieniom, były własnością dziedziczną kmieci, rządziły się prawem polskiem, żadnéj nie miały styczności z własnością szlachecką i nieodpowiadały ani za jego długi, ani poręczenia, ani za sztrofy lub sądowe ciąże, słowem za nic, i stanowiły zupełnie oddzielną nie zależną własność. Przytém pan miał prawo dopominać się u kmieci spełnienia przywiązanych do osad ich powinności, ale nie mógł wydalać ich z gruntu, ani wyzuwać z tego co posiadali dziedzicznie. W razie śmierci kmiecia, osadę dziedziczył syn, zięć lub najbliższy potomek męzki, rucho-

mością zaś i dobytkiem dzielili się wszyscy prawi sukcesorowie i gdy jeden obejmował rolę, inni albo szli w świat między ludzi dla chleba i zarobku, albo zostawali w miejscu. Bronić im tego nikt nie miał prawa, więc byli zupełnie wolnymi i nieprzywiązanymi do gruntu, a że już w XII wieku własności te kmiece i domowa ich zamożność nie w jednym obudzały chęć grabieży i przywłaszczenia, szczególniéj gdy kmieć umierał bezpotomnie, prawo więc wyraźnie zabroniło podobnéj niesprawiedliwości, i spadkobiercami mienia kmiecego najbliższych pobocznych oznaczyło. W razie zaś opuszczania dobrowolnie osady przez kmiecia, czego mu nikt nie miał prawa zabraniać, aby tylko ciążącym na niéj obowiązkom zadosyć uczynił, osada wracała pod rozporządzenie gminy, lub pana, i oddawaną była pierwszemu lepszemu który jéj zażądał.

Drugi rodzaj własności kmiecéj czasowéj, tak co do lat jak i obowiązków ściśle określonéj, powstał już znacznie późniéj, kiedy z zaprowadzeniem chrześcjaństwa zaczęło się utrwalać monarchja a z nią możnowładztwo.

Możniejsi bowiem w narodzie, posiadając znaczne przestrzenie ziemi, nadawane im za zasługi osobiste, osadzali na nich najprzód brańców wojennych, i wydzielając osady kładli na nich obowiązki na pewne lata po wyjściu których, ludzie ci niewolni stawali się wolnymi i przechodzili w stan właściwych kmieci. Osady takie najwięcéj zakładane były w lasach i różnych nieużytkach, które karczunkiem i pracą trzeba było wydobyć i zamienić na rolę uprawną, a że osady takie powstawały *z woli* pańskiéj i urządzenie ich i wskazanie obowiązków od *woli* pana wyłącznie zależało, nazwano je *wolami* a późniéj *wulkami*, dla odróżnienia od osad kmiecych inny zupełnie tytuł do własności posiadających i dla oznaczenia, że siedziby te na *woli* pańskiéj pozostają. Że zaś obowiązki te nie były ani uciążliwe ani poniżające—i nadawały wolność osobistą po ich dopełnieniu, w miarę więc powiększania się ludności, synowie kmieci w siedzibach swych nie znajdując pomieszczenia, przywiązani przytem do miejscowości, osiadali chętnie na takich *wolach* albo też nowe zakładali. Była

to więc czasowa dzierżawa, oparta na wzajemnéj umowie, i z oznaczeniem lat trwania jéj po upływie których tak wolni jak niewolni osadnicy, mogli rozporządzać swemi osobami jak im się podobało, a pan zostawał przy ziemi i mógł nią także rozrządzać podług swéj woli, to jest wcielić do gruntów dworskich sprowadzić nowych osadników, lub zatrzymać dawniejszych, jak to uznał dla siebie za lepsze i korzystniejsze.

W owym bowiem czasie uczucie wolności już tak było wkorzenione w narodzie a praca około roli tak szanowaną, że prawo ówczesne określając wolność, tak się wyraża:—

„Wolność wymyślona została przez mędrców, aby karczewić bory i małego pożytku lasy."

Kiedy więc braniec wojenny, w Czechach i w Węgrzech przedawany i kupowany, jak to się jeszcze dziś dzieje na wschodzie albo między murzynami, u nas przez wydobycie roli, stawał się wolnym człowiekiem, z tego bardzo łatwo można wnosić, że stosunek pana do osadników na woli osiadłych, mu-

siał być bardzo łagodny, i dlatego to *wole* takie tworząc się później z samych synów kmiecych, z nazwami swemi przetrwały aż do dnia dzisiejszego.

Różnica zatém między temi dwoma rodzajami własności kmiecych, była tylko taka, że gdy osadami zwanemi *wole* pan po wyjściu lat umową zakreślonych mógł zupełnie rozporządzać, i zmieniać podług swéj woli osadników, albo osady ich wcielać do gruntów dworskich, na starych osadach kmieci, do gruntów ich żadnego nie miał prawa, tylko do powinności ich obowiązujących. Jeżeli więc osada która spustoszała, winien ją był oddać w posiadanie innego kmiecia, przypilnowanie czego należało do całej gminy.

Własność ta kmieca była tak szanowaną, i taką ją prawo otaczało opieką, że jeżeli pan jaką *wolę* zamienił na dziedzictwo kmiece, aby sobie zapewnić z niej stały dochód, to później choćby chciał, już nie mógł nadania tego odwołać, i wola taka na wieki pozostawała własnością dziedziczną kmieciów, zawsze jednak niepodzielną, i z pewnemi

powinnościami dla pana. — Dlatego też duchowieństwo, dziesięcinę pobieraną z kmiecych osad nazywało niewolną *illibera*, jako dawaną z ziemi, nie zależącej od woli pańskiej.

Później w miarę wzrastania władzy monarchicznej, sama wola idąca z góry stopniowo rozwijana przez wyższe warstwy narodu, własności kmiece wraz nowszemi obciążała powinnościami, tak dalece że już nie tylko zrównała z osadnikami na *wolach* osadzonemi, ale nawet rozporządzanie niemi, to jest oddawanie ich w dziedzictwo, zupełnie woli pańskiej pozostawiła. Kmiecie więc w prawach swych prawie zrównani z osadnikami woli pańskiej, z łatwością ze starych do nowych przechodzili osad i nawzajem, a z tego to powodu ulegając jednemu losowi i jednej woli, dwa te rodzaje własności tak się z czasem pomieszały, że znikły bez żadnego śladu, tylko powstała nazwa *wola*, niby pomnik rzeczy już dawno zamarłej.

Obok takich *wól* i *wulek*, dosyć często można natrafić na folwarki, zwane wójtostwami albo sołtystwami. Są to części ziemi

rozmaitéj co do przestrzeni obszerności, niegdyś sprzedane lub nadane na wieczne czasy, albo wydzierżawiane wieczyście za czynsz lub jaką usługę, któréj nabywca obowiązany był dla gminy do któréj należał, dla dziedzica włości, pełnić obowiązki sędziego i policyi. — Sołtysostwa te przez nabywców mogły być sprzedawane, zastawiane, wydzierżawiane, bez żadnego znoszenia się z dziedzicem włości do któréj należały, a przytem obdarzone było prawem teutońskiem albo niemieckiém, które razem z przybyszami germańskiemi, o mało że kraju całego jeszcze przed Łokietkiem na pastwę sąsiadów nie oddało.

Gościnność bowiem wrodzona przodków naszych, łagodność obyczajów, zamiłowanie wolności stosowne do tego prawa, a przytem bogactwo ziemi i płodów, zwróciły na siebie oczy tak Niemców jak Żydów, którzy jęcząc w jarzmie feudalizmu, gnębieni i mordowani, za każdem większem prześladowaniem, kryli się na słowiańskie posiadłości, a korzystając z nieznanéj sobie swobody i opieki władz krajowych, nietylko doświadczali

zupełnej wolności wyznania, obyczajów i mowy niemieckiej, ale zastrzegali sobie teutońskie prawo albo niemieckie. — Przybysze ci wzrastając w bogactwo i liczbę, rozmnażając się i powiększając swój wpływ, prawo to teutońskie rozciągali do miast i miasteczek, gmin, wsiow i włości, niszcząc zupełnie prawo polskie i zaprowadzając inną sprawiedliwość i sądownictwo.

Zachowując przez to swą narodowość, swój język i obyczaj, dobrocią i łagodnością i opieką kraju rozzuchwaleni, przyszli wreszcie do tego, że w różnych sprawach i nieporozumieniach odwoływali się nie do sądów miejscowych, ale do wyroków zapadłych w Magdeburgu, Halli lub Lubece.

Z tego jednak nie należy wnosić aby prawo niemieckie rozszerzające się w kraju naszym ze szkodą miejscowego było jakiemś szczególnem dla nas dobrodziejstwem. — Pod jego opieką zakwitła wprawdzie pomyślność kraju, ale nie przez nie wyłącznie, tylko dlatego, że Polska przyjmując go, zatrzymała to co w niem znalazła zgodnego z duchem naszego społeczeństwa, a odrzuci-

ła wszystko, co wspomagało feudalizm — i cesarstwo przepełniało jękiem dręczonéj, męczonéj i przeciążanéj ludności. — Jeden tylko lud wiejski co pozostał wiernym swemu prawu i na nim to oparłszy się Łokietek, wpływ cudzoziemczyzny zniszczył, i rozpadający się naród na części, w silną jednę połączył monarchję, aby była przez długie wieki, murem ochronnym dla zachodu przed parciem barbarzyństwa ze wschodu. Wtenczas to prawo polskie zyskało przewagę, wstrzymując postęp rozszerzającego się prawa niemieckiego.

J. K. Gregorowicz.

WIANEK LIRNIKA.

Kto ten wianek śnieżnej bieli
Splótł lirniku na twą skroń?
Czy uwili go anieli,
Czy drużyny bratnia dłoń?

O! czyż może dłoń anioła
Pleść śmiertelnym Boski kwiat?
Czyż lirników blade czoła
Wieńczy kwieciem chłodny świat?

Pókim błądził w łzach i trudzie
Wśród skalistych życia dróg,
Twardą ręką skroń mą ludzie
Oplatali w twardy głóg.

Długo, długo jam sierota
Klątwą płacił ludzką złość,
A łza pychy i zgryzota
Dały kolcom w czoło wrość.

Com ja wytrwał... O! świat nie wie,
Tom odtrącał lirę precz,
Tom w szalonym rad był gniewie,
Pieśń zamienić w pomsty miecz.

Aż do krzyża raz mnie nocą
Powiódł biały anioł stróż,
„Trudno — rzecze — chcieć przemocą,
Grom odeprzeć ziemskich burz.

Na potężne gromów ciosy
Potężniejsza siła jest,
Co przebija wskroś niebiosy:
W łzach pokory święty chrzest.

Ten, co skruszył więzy świata,
Odkupienia czystą krwią...
Patrz skroń jego cierń ugniata,
W jego ręku gwoździe tkwią.

Gdy pokory łzy świętemi
Z krzyża płakał Boży Syn!
Ty robaczku lichy ziemi,
Szukasz pomsty bratnich win”.

Na anioła głos uroczy
Jam pierś hardą w skrusze bił,
Z oczu strumień łez się toczy,
Wstyd rumieńcem czoło skrył.

A gdym płakał — u stóp krzyża
Łzy policzył anioł stróż,
I miód łaski do ust zbliża,
Zgania gromy nowych burz.

Jego skrzydły otulony,
Wstaję, z pieśnią idę w świat...
Nagle z kolców méj korony,
Śnieżnym puchem błysnął kwiat.

Kto splótł wieniec? wy pytacie,
I cóż lirnik powié wam?
Kwiat bieluchny może bracie,
W łzach pokory wykwitł sam.

Kto splótł wieniec? O! ci może
Co w pomroku błędnych dróg,
Mnie lirnika dziecię Boże,
Upowili w twardy głóg.

Bo pieśń skona — gdy karmiona,
Złotych ułud błogim snem;
Te się z rosą dźwięki wzniosą,
Coś je krwawym obmył chrztem.

S. Pruszakowa.

O SILNÉJ WOLI
i potrzebie jéj kształcenia w młodzieży.

Nie pamiętam kto to powiedział, iż każdy człowiek jest sprawcą swojego losu; myśl ta chociaż nie zawiera bezwzględnéj prawdy, przecież tysiączne w życiu daje nam przykłady tak na pojedynczych ludziach, jak i całych narodach: że zła lub dobra dola od nas samych zwykle zawisła. I nie może być inaczéj, jaka przyczyna, taki skutek; jakie drzewo, taki owoc.

Wszelkie anormalne położenie, jako wyjątkowe, zamiast zaprzeczyć ogólnéj zasadzie, potwierdza ją, tylko owéj wyjątkowości szukajmy wytłumaczenia nie w najbliż-

szych, zewnętrznych przyczynach, lecz w odleglejszych — wewnętrznych.

Słusznie też, przy zbudzeniu się narodowego ducha, kwestja wychowania tak prywatnego, jak publicznego, jest dziś dla nas kwestją najważniejszą, kwestją żywotną, bo od jéj szczęśliwego rozwiązania zależy przyszłość nasza.

Pisano w tym przedmiocie trochę, dotknięto wielu wadliwych stron istniejącego systematu, rozwinięto kilka pomysłów, czyniących zadość niektórym gwałtowniejszym potrzebom czasu, lecz nie osięgnięto stanowczego rezultatu (w teorji), bo na wszechstronne zbadanie rzeczy jawnéj dyskusyi nie stało.

Ludzie specjalni, z urzędu nad tą kwestją pracują, a o usiłowaniach ich, po owocach sądzić będziemy. Tymczasem chcieliśmy tu zwrócić uwagę czytających na jeden punkt, którego dotychczas, mówiąc o wychowaniu nie uwzględniano, uważając go zapewne, jako konieczny wynik ułożonego przez siebie projektu.

Chcemy tu mówić o kształceniu woli tworzącéj silne, niezłomne charaktery.

Nie tylko u nas, lecz i u obcych wzgląd ten miano za podrzędny. Czy słusznie? Dość się zastanowić, iż ludzie, co przeważny wpływ na losy społeczeństwa wywarli, byli to ludzie nie tylko genjalni, lecz przedewszystkiem wytrwałéj, niczem zachwiać nie dającéj się woli.

Demostenes, Cezar, Napoleon I. są tego najlepszym dowodem.

Ludzie genjalni nie tak są rzadkiem zjawiskiem, jak się na pozór wydaje, lecz nie mając hartu woli giną marnie, błysnąwszy przelotnem światłem spadającéj gwiazdy; przeciwnie mniej uposażeni od matki przyrody, lecz wsparci o granitową wytrwałość swéj woli, dosięgają szczytu, o którym sami zaledwie marzyć mogli.

Wychwalają nam nieugiętość Anglików, pracowitość mrówczą Niemców, rzutność Francuzów, pomimo pozornéj lekkomyślności, dosyć wytrwałych, aby przewodniczyć cywilizowanemu światu, wreszcie czynem uświetnioną silną i niezachwianą wolę Wło-

chów. Czemuż o nas nic podobnego powiedzieć nie można? Historja dawniejszych, a nawet dość niedawnych czasów uczy nas iżeśmy mieli zawsze ludzi *dobréj woli*, ale *silnéj*, bardzo rzadko. Cudzoziemcy też powszechnie nam zarzucają, iż jeśli pochopni jesteśmy do podjęcia każdéj myśli pięknéj, szlachetnéj i wielkiéj, to w przeprowadzeniu jéj w czyn nikt od nas prędzéj się nie zachwieje, zniechęci i nie odstąpi jéj.

Mimo wielu, przez wrogów nie zaprzeczanych przymiotów brakło nam zawsze silnéj niezachwianéj woli, w doprowadzeniu do skutku raz powziętego zamiaru. *Vouloir c'est pouvoir* nie znane nam wcale. Smutno wyznać, jednakże powiedzieć musiemy, iż lekkomyślność, zrażanie się najmniejszą przeszkodą, przerzucanie się z jednéj ostateczności w drugą stały się niemal wadami narodowemi.

Prawda, że zbieg okoliczności, przyjęty systemat może ubezwładnić lub sparaliżować wolę tak indywidualną, jak zbiorową, czego dowodem dzisiejsza Grecja, lecz skoro raz przychodzi się do świadomości samego

siebie, grzechem jest nie rzucić się wszelkiemi siłami do zatamowania źródła, z którego złe płynie. Zródłem zaś téj bierności, niestanowczości i zmienności woli jest pierwotne wychowanie młodzieży.

Wykorzeniwszy owe złe w zarodzie, mniéj ujrzemy owych poczciwych, kochanych, miłych, uprzejmych człowieczków, którzy nie są złymi, jedynie dla tego że niemi być nie mogli, a jeśli fatum wystawi ich na próbę, to tak spadają nizko.... iż mówić o nich nie warto; mniéj będziemy mieli owych zdolnych, ba! nawet genjalnych, tylko że niepoznanych, wielkości wszelkiego rodzaju — szczególniéj też literackich, którym do osiągnięcia nieśmiertelnéj sławy potrzeba jedynie wyuczyć się ortografji, bez innych elementarnych wiadomości, jako genjusze obejść się mogą; mniej będziemy mieli znakomitych autorek, które dla tego tylko wzięły pióro do ręki, iż widziały, że nieukom bezkarnie to uchodzi; wreszcie mniej będziemy mieli owych artystów, co tak genjalnie umieją nosić płaszcz na obódwu ramionach, mniej obywateli i urzędników pięknie mó-

wiących o odwadze cywilnéj, lecz zawsze idących za wiatrem pomyślnie dla ich finansowéj nawy wiejącym. Niestety! lecz wtedy mniéj będziemy mieli poczciwych ludzi, bezstronnych dziennikarzy, sławnych literatów.

Nie sądźmy, aby na tem społeczność straciła.

Wykształcenie woli i jéj zahartowanie, wiemy to dobrze, nie jest z natury swej łatwem; bo tu nie można podać reguł, jak na składnię łacińską, a nadto zaczyna się ono bardzo wcześnie, a końca naznaczyć mu nie podobna.

W dziecinnym wieku rodzice, opiekunowie i samo otoczenie wpływa na wyrobienie woli; potem prostują i wzmacniają ją nauki stosownie udzielane, w końcu przy gruntownych, lecz nie konwencjonalnych lub *a priori* narzucanych zasadach życie, ta największa szkoła człowieka, wydoskonala i hartuje ją.

Na teraz głównie nam idzie o młodzież, gdy jednak nie jest naszym zamiarem podać rozprawę pedagogiczną, rzucamy kilka

oderwanych myśli odnoszących się do przedmiotu.

Kształci i wzmacnia wolę uczącéj się młodzieży:

a) Zahartowanie ciała przez zniesienie różnych wygódek, mianowicie w ubraniu i jedzeniu, o które niebacznym rodzicom najwięcéj chodzi. Zniewieściałe wychowanie tworzy tylko niedołężnych paniczyków, ulegających pierwszemu lepszemu wpływowi.

b) Czytanie życiorysów znakomitych ludzi; dla Alexandra—Homer, a dla Napoleona—Plutarch, były najmilszem czytaniem.

c) Nauki filologiczne. Te zmuszając do myślenia w przykładach dają wzory pięknych czynów.

d) Sprawiedliwe, a więc nie ubocznemi względami kierowane, udzielanie pochwał i nagan uczniom. Stronne bowiem postępowanie nauczycieli nader szkodliwy na młodzież wpływ wywiera, paraliżuje jéj pojęcia o sprawiedliwości i zawczasu uczy zazdrości, podstępu i kłamstwa.

e) Wczesne wdrażanie w uczni téj prawdy, że kara lub nagroda są dziełem ich własnem. Grzeszą ci nauczyciele, co wedle humoru a usposobienia swego dają stopnie uczniom.

f) Wreszcie, ojcowskie (nie zaś obojętne, urzędowe) zachęcanie młodzieży do wytrwałości, wspieranie woli słabszych przez usunięcie przeszkód, często od nich niezawisłych.

J. Pracki.

Wiersz, który przytoczymy w przekładzie sam będąc echem historycznego faktu, stanowi także fakt w życiu dwóch najznakomitszych poetów węgierskich.

Gdy Vörösmarty, patrjarcha literatury węgierskiéj, autor zapamiętanego przez cały kraj wiersza p. n. Pobudka (Szózat), którym jeszcze przed epoką 1848 r. starał się obudzić żywsze uczucia w narodzie, dążność do samopoznania i wyższych celów społecznego życia, gdy ten poeta następnie już w r. 1848 dał na sejmie węgierskim głos swój za wnioskiem, który potępiało stronnictwo ludowe, Szandor Pötöfi napisał wiersz poniższy i mimo odradzania przyjaciół, ogłosił go drukiem z następującą przedmową:

„Wiele osób starało się powstrzymać mnie od ogłoszenia tego wiersza. Mimo to drukuję go — i bez względu na skutki, nie mogę postąpić inaczéj.

„Z największą boleścią widziałem się zmuszonym wystąpić w ten sposób przeciw Vö-

rösmärtemu, którego kocham i szanuję o tyle, nawet nierównie więcéj jak wszyscy, co go szanują i kochają.

„Lecz nad to wszystko droższą mi jest miłość moich zasad. Dla serca mojego, które ubolewa nad koniecznością tego kroku, muszę być nieubłagany. Tak Brutus zamordował swojego dobroczyńcę, swojego ojca.

„Poświęcając Vörösmärtego, składam niesłychaną ofiarę na ołtarzu moich zasad. Znam ten jéj ogrom, czuję wszelako, że jestem gotów, jeżeli będzie trzeba większą im przynieść daninę”.

DO VÖRÖSMÄRTEGO

(z Szandora Pötöfi.)

Mam dać milczéć méj żałobie,
Że jak brata cię kochałem?...
Nie!.. wybuchnę słowem śmiałem
Chociaż z bólem, przeciw tobie;
W niebo moja pieśń zawoła
By wstrzymało cię nad tonią...
Nie rwę laurów z twego czoła
Ty je własną zrywasz dłonią.

Czyś narzędzie stłukł pieśniarza
I pokalał swe natchnienia?
Czyż kłamały twoje pienia,
Czy dziś głos twój je znieważa?
Błoto plami cię do koła,
Zamiast krwawych plam nad skronią...
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Patrzaj!... orzeł srebrno-szpony,
Spadł na ziemię.. Jak wspaniały!
A widziałeś jak był mały,
Gdy w zachmurne wzbił się strony?
Tyś na ziemi mały zgoła
Wielki z chmurą mknąc pogonią....
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią!

Kiedy kraj odpędził śmiele,
Sny marzące, drzemne zmory,
I porzucił nędzne tory,
Aby wyższe ścigać cele, —
Twój to głos go nazad woła,
By nad błotną stanął tonią?....
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Zniknęłeś w marnéj nędznych wrzawie,
Większość słabych ci pomaga;
Lecz czem liczba i przewaga?
Tyś był winien trwać przy sprawie!

Gdy stać przy niéj wieszcz nie zdoła,
Któż dbać więcéj będzie o nią?
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Tobie, wieszczu, coś rodzinny
Kraj pobudki swéj odgłosem,
Wezwał na bój śmiały z losem,
Tobie dziś głos przystał inny;
Od tych dróg, gdzie głos twój woła,
Twoje własne drogi stronią;
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Wielkim wielką cześć oddajem,
Vörösmärty... lecz twe imię,
Przemknie nikłe, choć olbrzymie,
Jak meteor po nad krajem!...
Gwiazdkę spadłą z świateł koła,
Smutnych łez żegnamy tonią...
Nie rwę laurów z twego czoła,
Ty je własną zrywasz dłonią.

Wł. Sabowski.

NAJNOWSZE POJĘCIA



Wieśniak. Mówią że służysz złej sprawie?

Literat. Głupstwo! zawiść! podłość! Talent — jest rodzajem towaru; towar sprzedaje się temu, kto lepiéj płaci.

W. A jeżeli uwodzisz i gubisz naród?

L. Mądrych nie zwiodę, co do głupich.... oni są jak gęsi przeznaczone na dzień Ś-go Marcina. Rzymu drugi raz nie zbawią.

W. A głos ludu?

L. Słyszą go ci tylko, którzy chodzą pieszo. Mam powóz.

KARJERA

(OBRAZEK Z ŻYCIA RZEMIEŚLNIKÓW.)

I.

Przy jednej z główniejszych ulic Warszawy, zwracał na siebie uwagę przed laty kilkunastu mały, gustownie urządzony sklepik krawiecki. Na pierwszy rzut oka, można było poznać że jego posiadacz zaczął dopiéro dorobek i chce pracować sumiennie, bo nie szyld wyzłacany, nie szyby kosztowne— ale gustowny dobór wystawionych materjałów, wykończenie w robocie gotowéj — i porządek, zalecały ten nowy zakład. Wszystkie surduty, okrycia, palta, były odszyte z równą elegancją, wszystkie korty i sukna

były mocne jak skóra; trudno było znaleść jednę sztukę garderoby, z gatunku tych, które nasi panowie mistrze krawieccy chowają dla ludzi dobrodusznych lub przybyszów z prowincji; które przymierzane w sklepach, leżą jak robione *na urząd*, są najmodniejsze, mają być nieschodzone, z materjału angielskiego — a późniéj, tracą tyle na dobroci i wdziękach, ile 50 letnia piękność w negliżu, rozdąsana na młode rywalki.

Zmrok już zapadał, gdy do tego sklepiku wpadł młody człowiek, ubrany podług ostatniéj mody. Widocznie, nie był to panicz szukający kosztownego stroju — ale znajomy i przyjaciel właściciela zakładu, bo przywitali się serdecznym uściskiem dłoni i poufałem:

— Jak się masz Józefie?

— Jak się masz Jasiu?

Józef, było to imie gospodarza — a Jan gościa, który zasiadłszy z wygodą w fotelu przeznaczonym dla kupujących, wyciągnąwszy nogi, przyglądał się w dużem lustrze swojéj postaci i łakierowanym butom ze

sprzączkami, mówiąc prędko i z roztargnieniem:

— Dzisiaj, poszło mi nieźle. Jakiś szlachcic wziął odemnie roboty za 600 złotych, na któréj zarobiłem pół na pół.

— To zbyt słono; jabym tego nie potrafił, odpowiedział Józef.

— Bo nie znasz rzeczy najpotrzebniejszéj: nie umiesz zachwalić towaru. Nauczyłem się téj sztuki od kupca co ma skład sukien i kortów. Kiedy przychodzisz do niego, przysięga się na honor, żonę i dzieci że jego materjały są najmodniejsze, najtrwalsze, posiadają elastyczność gummy, nie wypychają się w chodzeniu, nie wycierają się — a nawet najstraszniejsze plamy same na nich giną — daje zaś rzeczy stare i zleżałe. Mój *pryncypał* także był metrem, wiedział jak do kogo mówić, jak robotę pokazać.

— Więc szczęście ci sprzyja mój Jasiu? zapytał się z westchnieniem Józef.

— Na szczęście jest taka sama recepta jak na mixturę, albo przepis jak na baby parzone, odpowiedział zapytany. Zacząłem uczyć się po francuzku, aby sądzono żem

terminował w Paryżu; kazałem na szyldzie wypisać tylko *Jean*, jak gdybym ukrywał znakomite nazwisko; nie pytam się eleganta: czy pana upija pod pachą? tylko: czy pana *żenuje* rękaw? terminatorów nazywam uczniami, *karłowi* nie powiem: na pańskie majtki wyjdzie półtora łokcia, bo to draźni miłość własną, ale oglądam go z podziwieniem i mówię: pan jest silnie zbudowany, potrzeba wziąść trzy łokcie sukna; garbatemu, pokazując zrobiony dla niego surdut, nie trzymam za kołnierz, bo rzekłby niezawodnie: to zła robota! cóż to za worek w tyle?! ale pokazuję go klapami i muskam na nim, wołając: jak ulany! pan dobrodziéj ma cokolwiek wypukłe *plecki* — ale za to piersi *huzarskie*!

— Nie nawymyślał ci nikt jeszcze?

— Komu!? mnie?! Nie wart jesteś dobréj kolacji, którą ci dzisiaj chcę kupić mój Józefie, kiedy takie robisz pytania. Każ zamykać sklep, pójdziemy pod *Złotą gruszkę*, może ja i ciebie przerobię.

— Jestem zupełnie zadowolniony z mojego postępowania. Mam zysk mniéjszy, to

prawda — ale z czasem i to się powetuje, bo zjednam sobie więcéj *kuntmanów.* Postępujmy każdy według swojego przekonania.

— Muszę ci przypomnieć dla czegoś został krawcem. Mówiłeś mi, że po skończeniu 4-ch klass w gimnazjum realnem byłeś już kancelistą powiatu — ale widząc że ci nie wystarcza pensja na utrzymanie a z domu pomocy mieć nie możesz, wstąpiłeś do klasztoru; byłeś braciszkiem, miałeś wygody — i znowu widok rodziny, pogrążonéj w ubóstwie wyrwał cię z tamtąd. Zostałeś rzemieślnikiem, spędziwszy dwa lata w terminie, dwa jako czeladnik — a trzy jako buchhalter. Założyłeś sklep aby się zbogacić, przykład twojego pryncypała (jeżeli nie pamięć ubóstwa), powinny cię umacniać w przedsięwzięciach. Jak to ładnie jemu słuchać teraz albo czytać na listach, kiedy po dwudziestu latach zabiegów nabył dobra za miljon: jaśnie wielmożny dziedzicu!... do jaśnie wielmożnego Korzonkiewicza, kollatora parafji Strzępki, posiadacza dóbr ziemskich, członka Towarzystwa Dobroczynności, Prezesa rady szpitalnéj e. t. c.

— Sumiennie wyuczyłeś się na pamięć wszystkich jego tytułów!

— O! niechaj go djabli wezmą! zawołał z zazdrością Jan. Córki już edukuje we Wrocławiu i zapewne nas wszystkich za rok nazywać będzie *krawietkami*, za dwa lata — zostanie sędzią pokoju, za trzy — djabeł nie śpi, może i marszałek!

— Chyba bankrut! odpowiedział Józef. Czy on ma pojęcie o gospodarstwie? Prosiłem żeby głupstwa nie robił, o mało nie płakał przedemną że żona wszystkiemu winna. Zachciało się babie tytułu, dziedzictwa, przyjęła rządcę, ale zobaczysz jeszcze jak skończą. Szlachta śmieje się z niego, rzemieślnicy drwią i państwo dało mu zmartwienie.

— I to bajka! odpowiedział Jan. On jak jedzie powozem to nie słyszy czy się z niego śmieją ci, co chodzą piechotą. Ma co jeść, pić, *chłopy chamy* mówią mu: jaśnie panie — i basta!

— Czyś ty szlachcic? zapytał się Józef.

— Alboż nie widzisz, odpowiedział cokolwiek zmięszany Jan. Niby to tylko ty że

się nazywasz Małpkowski i miałeś ojca organistą, to masz sam być szlachcicem? Wprawdzie moi rodzice byli sobie *kmiotki*, ale co mi tam do nich, kiedy jadam to co i szlachta a ubieram się jak hrabia. Zamykaj sklep prędzéj.

Józef kazał terminatorowi podawać drzwi od sklepu i trzymał już szrubę w ręku, gdy na progu ukazała się trzecia figura, ubrana dosyć starannie, także nie kupujący, uśmiechając się i wołając:

— Moje uszanowanie! moje uszanowanie, panie Małpkowski!

— Witam pana sędziego dobrodzieja!

— To zapewne kolega pański, rzekł człowieczek tytułowany sędzią, ukazując na Jana.

— Tak panie dobrodzieju! *Jean*, właściciel magazynu przy ulicy Długiéj.

— Może panowie zajęci sprawami handlowemi? Przeszkodziłem....

— Bynajmniéj.

— Bo ja, to kocham cię panie Józefie jak własne dziecko; chciałem pogawędzić z tobą.... no, to nie ucieknie, nie *zając* — i po

tych słowach zamyślił się głęboko pan urzędnik, westchnął razy kilka przypatrując się Małpkowskiemu ze współczuciem i politowaniem.

Prawdę mowiąc, nowy gość, był tylko kancelistą sądowym, mając nadzieję doczekać emerytury na tém stanowisku, ale używał tytułu sędziego, który jeżeli nie ze względu na zdolność — to wypadało mu nadać z uwagi na wiek.

Miał lat 50.

Jak to wiele można powiedzieć o człowieku, który przeżył pół stulecia; chociażby sobie był jednostką tak zwyczajną jak w loteryjce, ileż już razy mógł stanowić kwinterno szczęścia lub nieszczęścia w życiu innych stworzeń rodzaju ludzkiego?!

Pomińmy jednak te uwagi — i obejrzyjmy go powierzchownie. Ma oczy piwne, małe, ruchliwe; nos szkarłatny, twarz bladą, czoło pomarszczone; plecy wypukłe od ślęczenia nad stolikiem — i jest figurą bardzo zwyczajną, jakby można wnosić z listy stanu jego służby, bo nie ma tam wzmianki ani o randze, ani o majątku, ani o wielkich zdol-

nościach. A jednak! o sprawiedliwe nieba! jakże niesumiennie go osądzono!!

Gdy (przed laty) rozmyślano jak zaradzić prawdziwej nędzy, w któréj bywają pogrążeni urzędnicy, mający szczupłą pensyjkę a obarczeni liczną rodziną, pan Malachjasz Wojdalski *kanclerz* Trybunału, podał plan taki:

„Człowiek mający żonę, jest pokorniejszym i pilniejszym urzędnikiem bo obawia się dymissyi; robi bez zastanowienia wszystko, co nakaże mu zwierzchnik, więc nie można skazywać biédnych na bezżeństwo, którzy zazdrościliby nawet wróblom ich pieszczot; jednakże, ze względu na smutne następstwa wynikające ze złączenia dwóch *biéd* na jednę, wypada ograniczyć liczbę dzieci mających przyjść na świat.

I tak:

Registrator kollegialny ma miéć jednę córkę.

Sekretarz gubernialny syna.

Sekretarz kollegialny syna i córkę.

Assesor honorowy syna i dwie córki.

Prezes trybunału, z rangą rzeczywistego radcy stanu sześciu synów, siedem córek i pół.

Każde dziecię zrodzone nie według przepisów, ma mieć nazwę: „nadetatowe" i być zapisane w liście stanu służby nie pod rubryką zwyczajną, lecz w uwagach.

Prócz tego, obliczyć jaka summa dzieci wypada np. Rząd Gubernialny, a jeżeli jest nad przepis przekazać ją biurom podwładném np. Naczelnika Powiatu, Magistratom, Wójtom Gmin i t. d."

Projekt ten nie utrzymał się. Wszędzie pełno intryg!

Obok zawiędłéj twarzy sędziego, wyraziście odbija postać Józefa. Ten świeży, rumiany, brunet przy szpakowatym biuraliście, ma lat 28, wzrost dobry — i wyraz poczciwéj szczerości.

Jan znowu, jest to blondyn, niski, krępy, ospowaty, nosi bródkę, faworyty, wąsy, wystrojony podług karty mód, a jego siwe oczki biegają uśmiechnięte, jak gdyby patrząc na jakiś obraz, który dla innych jest zakryty.

Ze spojrzeń sędziego, wymiarkował on że

ten przyszedł nie bez celu, więc poprawiwszy krawat przed lustrem, skłonił mu się jak bohater z kawiarni pod gwiazdą—i szepnąwszy Józefowi: — czekam na ciebie u Laszkiewicza wybiegł — ze sklepu.

Biuralista zażył tabaki, skrzywił się, zachmurzył czoło, rozwarł oczy patrząc w ziemię — i rzekł:

— No, jakże ci tam idzie mój panie Małpkowski?

— Nieźle panie sędzio. Zwiedziłem wszystkie fabryki krajowe, poznałem gdzie jakie są wyroby: tańsze, mocniejsze, piękniejsze, zawiązałem stosunki w kraju i zagranicą....

— A!... odpowiedział sędzia, pięknie, pięknie, tylko hm.... czy aby są pieniążki?

— Miałem swoich cztery tysiące, pożyczyłem drugie tyle od jednego z buchhalterów i mam nadzieję że nie stracę.

— Ale któżby o tém mówił! tylko, po co wspólnik, byłaby lepsza wspólniczka.

— *Tak krawiec kraje, jak materji staje,* mówi przysłowie....

— Prawda, prawda.... pięknie, bardzo pięknie.... Wzorowy młodzieniec z ciebie

panie Małpkowski, wyrecytował biuralista i znowu zamyślił się jeszcze głębiéj.

— O czem pan sędzia tak myśli, zapytał go Józef.

— Oj! odpowiedział z westchnieniem, Bóg widzi że nie o sobie... *Mości dobrodzieju*, czy pan jesteś jedynak?

— Mam braci kilku.

— Na rany boskie! zawołał kancelista, a otóż wojsko ci pachnie chyba, kiedy nie myślisz o obronie?

— Chciałem wyrobić sobie akt opieki nad familją, ale ojciec żyje i jest w sile wieku.

— To i sęk! Niechżeby cię wzięli, handel przepadł! Sprzedajże wszystko za psie pieniądze, zmarnuj, żyda zbogać albo oszusta! Hm, źle....

— Cóż poradzić?

— A!... poczekajno.... Wiem!! zawołał uderzając się ręką w czoło z radością. Ożeń się.

— To drugi sęk, odpowiedział Józef. Mam cokolwiek wykształcenia, niechciałbym ograniczonéj żony...

— Dostaniesz jakiéj zechcesz.

— Nie jestem bogaty, trzebaby pierwéj dorobić się....

— Weźmiesz posag!

— Młoda, chciałaby zabaw a ja muszę pilnować sklepu. *Pańskie oko, konia tuczy.* Trzebaby kobiety wyrozumiałej.

— Taką właśnie mam dla ciebie!

— Kto, pan sędzia?!

— Ja!! zawołał z dumą. Ja! jakem Malachjasz Wojdalski.

— Któż taki? zawołał z kolei Małpkowski.

Biuralista zażył tabaki, mrugnął, uśmiechnął się, kiwnął głową i mówił:

— Panie dobrodzieju, ma dwie kamienice....

— W Warszawie?

— A tak!

— To mię nie zechce!

— Głupstwo! Weźmie z pocałowaniem ręki; to jest (dodał poprawiając się) pan ją pocałujesz w rękę.

— A chociażby w.... nogę, rzekł zapalając się Małpkowski.

— I oczytana panie Józefie.... Cho, cho, cho!... Literatka! co przyjdę, to zawsze

trzyma w ręku co świéżego..... Muzykantka! Co to za przyjemność: ona gra w pokoju na pantaljonie — a pan w sklepie do taktu krajesz pantaljony! Kupujący zaraz co innego myśli!

Małpkowski westchnął.

— Zagospodarowana, rozsądna, wymowna, porządna, miła... mówił pan Malachjasz.

— A w jakim wieku?

— No.... wdowa po fabrykancie powozów... Ma lat.... około.... może mniéj.... ale mówi że 32.

— To starsza odemnie!

— Ej! dałoby się to pogodzić. Królowie biorą starsze żony, a cóż dopiéro w naszym stanie. Widocznie nie głupia, kiedy chce człowieka fachowego, chociażby mogła iść za jakiego goljata, paniątko, może nawet za hrabiego.

— A ładna aby?

— Ba! ba! ba!... Mości dobrodzieju, żyje w wygodach jak księżna i nie miałaby być ładna? Tusza piękna, zdrowa, rumiana, i czegóż jeszcze? Nareszcie sam zobaczysz.

— Jakże ją zobaczę?

— Pójdziemy razem. Jutro święto, wystroisz się....

— I zaraz jutro?

— Cha! cha! cha! To złote jabłko, mogą porwać z przed nosa — a miałbym na sumieniu.

— Może pan sędzia pozwoli na kolacyjkę, bo na mnie czeka mój przyjaciel u Laszkiewicza?

— Mogę, mogę, tylko—ani *mrumru* przed nim. Mógłby starać się...

— Rozumiem panie sędzio.

— A tak, a tak! Silentium! jak w klasztorze.

II.

Nazajutrz, to jest w niedzielę, o godzinie 5-éj po południu, ukazał się znowu pan Malachjasz w domu Małpkowskiego wystrojony jak na wielką galę. Józef zastosował się do niego ze strojem — i wypaliwszy po kieliszku śliwowicy na odwagę, ruszyli z wizytą.

Przy ulicy Podwal, stał dom piętrowy,

do którego zmierzał Józef za swoim protektorem. Szli zamyśleni, bo — było o czem myśléć. Biedny Małpkowski (jak wiemy z poprzedniego opowiadania), wyrzekł się dobrowolnie dwóch zaszczytów: t. j. zostania urzędnikiem a następnie księdzem, aby tylko uczciwym sposobem zapracować kawałek chleba i z czasem być pomocą rodzinie. Cóż dziwnego, że myśl zostania właścicielem dwóch kamienic, pozbawiła go snu przez noc całą?

Marzył już o swoich lokatorach, o powiększeniu zakładu, zostaniu *starszym zgromadzenia*, wycieczkach do Wrocławia, Berlina i Paryża — a najmniéj — o żonie. Bo swojéj przyszłéj nie znał wcale — i dopiéro ujrzawszy ją, miał dopełnić sobie ów wymarzony obraz szczęścia.

Pan Wojdalski — także marzył. Naturalnie, nie o rywalizacji, nie o szczęściu przyszłéj pary, ale o honorarium za zrobienie tak świetnego interesu.

— Józef myślał — zapali się do kamienic; zdaje mi się że już widzę na sobie płaszcz mundurowy, który da mi w prezencie — a mo-

że i żakiet? Pani Drapacka (nazwisko wdowy), obiecała dwa tysiączki za swaty. Oj! bo też potrzebowałem takiego podarku! Będę na weselu — a później — to rzecz pana młodego.....

W zamyśleniu, swat — i swatany stanęli przed domem wdowy, weszli na pierwsze piętro — i sędzia zadzwonił zamaszyście. Na ten odgłos, silniej niż w dzwonku zadrgało serce w Józefie. Przeżegnał się nieznacznie — i wszedł do przedpokoju.

Jeszcze jeden próg przestąpili, nastąpiły ukłony, przedstawienia, gospodyni słodziutko wyrzekła: — proszę spocząć, szepnęła coś o pogodzie — i ukradkiem patrząc na Józefa, zawiązała rozmowę z Wojdalskim.

Na stole machoniowym, płonęła lampa — ale nie zbyt jasno. Meble były obite axamitem, dywan na ziemi, obrazy na ścianach, mnóstwo cacek na serwantce, ładne zwierciadła, froterowana posadzka, firanki, portjery ozdobione sutemi kwastami. Małpkowski obejrzał to wszystko nie znacznie, ocenił westchnął lekko i pomyślał:

— Mogę wejśc tylko w ubraniu — sprowadzić się w jednym garniturze a jednak nic mi nie braknie.

Gospodyni siedziała w pewnéj odległości od niego. Miała na sobie suknię jedwabną, wygorsowaną, ukazując zbytek otwartości w stroju, bo można było widziéć jéj wychylone łono.

Rozmowa trwała blisko pół godziny, nim podano herbatę. Józef nie mógł dosyć napatrzéć się pani Drapackiéj — bo — usiadła w cieniu.

Herbata zbliżyła wszystkich. Niestety! pełna twarz wdowy, wydała się Małpkowskiemu nabrzmiałą; rumieńce fabrykowanemi, pod oczami dojrzał sine obwódki, głos jéj — zdawał mu się być ochrzypły.

Gdy młoda służąca przyniosła drugi raz nalaną herbatę, pomyślił: „Czemuż pani nie jest tak ładną!"

I znów utonął w marzeniach:

— „Dobre są kapitały, ale odgrywać całe życie rolę zakochanego a nie kochać, całować ze wstrętem, w uścisku — czuć dłoń zimną przeżytéj kobiety, doznawać zimnych

dreszczów na wzmiankę o pieszczocie — to zbyt trudno. —

Pani Drapacka marzyła zupełnie inaczéj! Według niéj, uporczywe milczenie Józefa oznaczało albo nieśmiałość graniczącą z niewinnością, (co dosyć lubią kobiéty), — albo rozbudzoną już miłość. Więc chociaż głos jéj chrypł widocznie mówiła bez zająknienia:

— W młodości marzyłam że będę w balecie (któż z nas nie marzy!!), i będę ślicznie wyglądać w *tyrkotach*: miałam dużo talentu do tańca — ale wydali mię za mąż i wyszło mi to z głowy. Dorobiliśmy się majątku, wydaliśmy naszą siostrzenicę za mąż, *za Warszawę*, nie żałowaliśmy na wyprawę, kiedy nam Pan Bóg dał — ale cóż, mąż mój umarł, siostrzenica umarła — i jestem sierotą. O! jak to przykro być saméj kobiecie.

— Państwo nie mieli dzieci? zapytał się zbudzony z zamyślenia Józef.

— Mój mąż, odpowiedziała udając zarumienienie wdowa, nie mógł mię uszczęśliwić tytułem matki. Poświęcam się interes-

som, nabożeństwu, czytaniu, czasem zagram cokolwiek na fortepjanie — i jak gdyby na stwierdzenie słów swoich, powstała z kanapy wołając na służącą — a w przechodzie uderzyła w fortepian, który zabrzęczał kilku taktami walca. To oznaczało już, że pan Józef wpadł jéj w oko i że wyraźnie pragnęła go pochwycić w swoje objęcia, poruszając całą potęgę ułud.

Trudno oznaczyć jak dalece miały ją unieść te ułudy sercowe, bo na drodze którą pragnęła usłać sobie różami, napotkała cierń nieprzewidziany; tym cierniem była jéj lokatorka i znajoma, panna Adela, która tak nie w porę przybyła z wizytą, oglądając ciekawie obydwóch mężczyzn i wołając zaraz w progu:

— Zapewne to pani grałaś? Już z tysiąc razy słyszałam początek tego kochanego walca, a zawsze mam ochotę słuchać go. Podobno pani nauczyłaś się już całego?.... Proszę mnie przedstawić.

— Panna Adela Złudzka — rzekła kwaśno gospodyni, była artystka baletu.

— Ale któż jest ten *pan młody*, zawołała

dwójznacznie Adela, bo pan Malachjasz to stara znajomość.

— Józef Małpkowski, właściciel zakładu ubiorów mezkich, rzekł Wojdalski — poprzednio zaś był urzędnikiem.

— To pan musiał być w szkołach? zapytała się panna Adela.

— Skończyłem cztery klassy, wybąkał Józef.

— Tyle klass! To jak jaki huzar! a został pan człowiekiem *fachowym*.

— Czy panią to zadziwia?

— Nie!. Ja bardzo szanuję ludzi lubiących pracować! Czy to konkurent? szepnęła na ucho pani Drapackiéj — i zaczęła robić jéj jakieś sekretne zwierzenia, spoglądając ciągle na Józefa.

— Ta, to ładna! myślał znowu Małpkowski. Oczy niebieskie, duże, włosy ciemne ładna figura, niéma jak lat 24 — wzrost odpowiedni mojemu — i zamyślił się....

— Jakże ci się podoba gospodyni domu? szepnął do Józefa pan Malachjasz, biorąc go pod rękę — i chodząc z nim po pokoju.

— Stara, odrzekł Józef.

— Ci—cho!.... A ta druga?

— Ładna!

— A! ba! malina!. Była w teatrze, ale wystąpiła, bo tam okropna niemoralność. Dzięki Bogu, że ma bogatego kuzyna, człowieka w wieku podeszłym — i spojrzawszy znacząco na pannę Adelę, puścił Małpkowskiego a sam uderzając się w czoło, zawołał głośno: a! to gapa ze mnie! Miałem pani powiedzieć coś ważnego i zapomniałem. Nie mógłbym pani poprosić na chwilkę do drugiego pokoju? Goście wybaczą!

— Niechaj pani na nas nieuważa! zawołała Adela!

Gospodyni, domyślając się zapewne powodu audiencji nie dała się namawiać długo. Gdy już znalazła się w drugim pokoju z Wojdalskim, twarz jéj rozjaśniła się uśmiéchem pełnym nadziei.

— Cóż!? zawołał lakonicznie Malachjasz.

— Przystojny — i nie głupi! odpowiedziała.

— Więc przyśpieszę?

— A cóż on mówi?

— Poznał się na pani od razu! Zakochany! Nieszczęście tylko przyniosło tu Adelę, możnaby było szczerzéj pomówić.

— To zaczekajcie aż wyjdzie.

— Ba! ona na złość zostanie. Jeszcze gotowa zaprosić go do siebie i bałamucić niewinnego chłopca. Lepiéj żeby pierwsza wizyta odbyła się po formie. On przecie nie zwyczajny *krawieta*!

— A przyjdziesz pan z nim prędko?

— Radbym, bo pani interess — to tak jak mój, tylko mam jeden ambaras. Muszę po biurowych godzinach latać i starać się o pożyczkę 30 rubli na zapłacenie długu; trudno mi znaleść kredytora, nie wiem kiedy skończę — bo radbym być z nim.....

— Ależ, przerwała pani Drapacka, to *głupstwo!* ja panu wygodzę zaraz.

— Zbytek łaski! Nie wiem czy mogę przyjąć? wołał Wojdalski a oczy błysnęły mu radością, bo wdówka rozrutna na ten jeden raz, otworzyła do komody i podała mu trzy papierki różowe, mówiąc:

— Pójdźmy do gości teraz.

— Pójdźmy.. dziękuję.. już ja wszystko

załatwię... jakbym widział konsolację.... powtarzał Malachjasz, uszczęśliwiony swojem powodzeniem.

Przez czas téj rozmowy, nie próżnowała i panna Złudzka. Kiedyś marzyła ona jak wszystkie *ciałka* baletu o laurach i książętach; dzisiaj, doznawała często ściskania w piersiach, czasem niepokoił ją już suchy kaszel, scenę zmuszoną była opuścić, co raz mniéj wujaszków pamiętało o niéj, więc, po kilku sekundach namysłów, korzystając z nieobecności Drapackiéj, rzekła do Józefa:

— A może i mnie pan odwiédzi?

Takiego *zaszczytu* nie oczekiwał Małpkowski; zarumieniony, podniósł się, szastnął nogami i wypowiedział z prawdziwem zadowoleniem:

— Jeżeli pani mną nie pogardza, to będę służył z całą przyjemnością.

— Pogardzać — tak miłym młodzieńcem! ależ to byłoby okrutnie! zadeklamowała panna Złudzka, rzucając w dodatku Małpkowskiemu bardzo wymowne spojrzenie — a w duszy myśląc: wybornym będzie mężem! uwierzy we wszystko.. Stanę sama w skle-

pie, rój panów ściągnę do naszego magazynu, z czasem mogę zostać właścicielką domu w Warszawie lub wioski. Drapacka — rozchoruje się z zazdrości. Dalszy ciąg wyznań — i planów, przerwał powrót gospodyni domu. Rozmowa na pozór toczyła się obojętnie — ale ciekawy widok przedstawiały te cztery osoby, złączone w jedno grono, z których każdą inny ożywiał interes.

Drapacka pragnęła młodego męża, Adela — płaszczyka, mogącego pokryć jéj dawne grzechy i zapewnić jéj przyszłość. Instynktem, odgadły w sobie rywalki — ale jedna była przekonaną że Józefa olśniły jéj wdzięki, druga — wierzyła w potęgę kapitału. Pomiędzy temi dwiema siłami mocy magnesu, zawisło i wahało się serce Małpkowskiego. Dwie kamienice—i wyraz: *miły młodzieniec* słyszany z ustek Adeli, zachwycały go na przemian — a błyskawice spojrzeń dwóch kobiet padały ciągle na niego.

Wojdalski uśmiechnął się tylko, po prostu: śmiał się ze swoich pacjentów, którym czy pomoże lub nie — zawsze dostanie ho-

norarium, zaczynające się od tak przyzwoitego zadatku.

Jego myśli były prawdziwie różane — bo o różowych papierkach.

III.

W miesiąc po opisanéj scenie, w pokoiku kawalerskim Józefa przechadzał się z niezadowolnieniem Wojdalski, gdy drzwi otworzono i ukazał się — *Jean*, wystrojony jak za zwyczaj.

— Dobrze że téż pana widzę! zawołał Malachjasz podając rękę wchodzącemu. Jesteś pan przyjacielem pana Małpkowskiego, wytłomaczże mu niechaj dziecinnym nie będzie. Dwie kobiéty starają się prawie o niego same a on odrzuca taki interes. Jedna ma lat 32 i dwie kamienice z czystą hipoteką.

— Ma lat 50! przerwał Józef.

— Mniejsza już o nią! wołał biuralista w rozpaczy, ale panna Adela? Piękność, cudo, anioł! panie kochany, ma mości dobrodzieju wuja bogatego, który i o wyprawie

i o posagu pomyśli. Kocha ją, będzie miał staranie....

— Miała ze stu kochanków będąc w balecie! przerwał znowu Józef.

— A! jeżeli na takie plotki uważać będziemy, zawołał Malachjasz, to gotów jesteś posądzić mię że swatam cię dla interesu! Cóżby mi przyszło z tego? Mówże pan?

— Wybaczy sędzia, ale.. rzekł mięszając się Józef, mam zamiar zostać jeszcze kawalerem przez lat kilka... Namyśliłem się już.

— Namawiajże go pan! szepnął Wojdalski do Jana, trącając go łokciem. On oszalał — a głośno mówił: Panie Józefie! zastanów się! Młoda żona--jaka rozkosz! Idziesz z nią przez ulicę, każdy patrzy, zazdrości. W domu—pieścisz się ile zechcesz. Oj! gdybym był młodszy! Nareszcie obrona od wojska; krewni zaprotegują cię.

— Żona, mówił Jan, mogłaby iść od kancelisty do jenerała i robić starania. Przekonać ich żeś niezdatny. Miałaby prawo. No, cóż....

— Nie mogę odmienić zdania.

— Stałaby w sklepie, wyglądała przez

szybę, każdy wszedłszy coś kupić żeby tylko mógł zobaczyć ładną kobiétę, miałbyś wkrótce ogromne dochody, mówił Jan.

— Wszak i ty jesteś kawalerem, odpowiedział Józef.

— Panowie bywaliby z wizytą u ciebie! wołał ze złośliwym uśmiechem Jan, chwaląc tak — aby ganił pochwałą.

— Przepraszam, głowa mię boli, nie mogę nawet odpowiadać, rzekł Małpkowski stanowczo.

— Kiedy tak!... zawołał Malachjasz.

— Kiedy tak?! powtórzył Jean, to pojdźmy panie sędzio, niechaj się dąsa sam.

I wyszli obadwa.

Jan wziął sędziego pod rękę, kierując ku cukierni na pączyk — a przez drogę mówił:

— Mój Boże! Rozsądnemu człowiekowi nigdy tak szczęście nie sprzyja! Gdybym ja był na jego miejscu?

Wojdalski ścisnął za rękę przyjaźnie Jana i rzekł mu:

— Na pańskie koło wodę obrócę.

Weszli do cukierni.

IV.

Teraz, cały już rok upłynął.

W pokoju zasłanym dywanawi, ozdobionym firankami, portjerami, cackami, kwiatami i meblami ostatniéj mody, w święto, w porze poobiedniéj, znajdują się — Jan i Adela, od dwóch miesięcy małżonkowie.

Z twarzy ich, łatwo poznać że są zagniewani.

On leży na kozecie, paląc cygaro i przyglądając się szlafrokowi, ona stoi w bluzie przed zwierciadłem. Włosy mokre na końcach, świadczą że się myła, więc twarz jéj widać taką — jaką jest. Dziwna twarz! Rysy zachwycające, ale pomimo młodości zmarszczki na czole, bladość chorowita, oczy duże — zamglone. Gdzie spodziewawamy się ujrzéć świeżość, dziewiczość młodości, widzimy bladość trupa.

Jan, spojrzał na nią z pod oka, skrzywił się wzgardliwie i znowu milczał.

Czekajmy, zaraz wdzięki zolbrzymiéją. Pomiędzy mały warkoczyk swych włosów

wplata drugi, duży, tegoż koloru. Z przodu wpina pomiędzy włosy spadające na skronie bujne sploty cudzych, oprawnych w małe grzebyki. Uczesała je. Warkocz jak korona — njoby cudowne!

Z pudełka wydobywa puder, osypała nim twarz całą; to od gorąca lub też spalenizny. Bierze wyborny róż i robi lekkie, blade rumieńce na całéj twarzy z biegłością i wprawą niezwyczajną; to dla tego, aby nie znać było pudru. Jeszcze brew uczerniła — malowidła prawie nie znać — a wygląda tak, jak powinna w swoim wieku.

O! potęgo sztuki. Jan nie tak krzywo już spogląda na żonę, chociaż przemiana zaszła w jego oczach; zazdrość jednak zaczyna w nim odzywać się, myśli: — ona nie dla mnie chce być piękną!

Milczą oboje.

Ona przynosi jedwabną suknię, kładzie ją, zapina szamerowany staniczek, poprawia kołnierzyk, wpina broszkę z koralem, takież guziczki zakłada do mankietów — i jest co raz piękniéjszą. Zarzuca nakoniec okrywa-

dło, bierze kapelusz i wiążąc u niego wstążki, porusza głową, jakby mówiła:

— I ja, tak piękna jeszcze, jestem żoną krawca!?

Jan widział gest, zrozumiał jego znaczenie, ubódło to jego miłość własną.

— Nie pójdę z tobą na spacer! odezwał się.

— Tego też pragnę! zawołała źle tając radość dawna artystka. Wielkież mi szczęście, trzymać cię pod rękę!? Kiedy idę sama, panowie, książęta kłaniają mi się — a jak mię zobaczą z tobą, to każdy udaje że nie widzi, żeby nie posądzano ich o przyjaźń z chłopami!

— Ja żeniłem się dla siebie — a tyś wiedziała za kogo idziesz. Teraz nie czas myśléć o panach.

— Zawsze czas! Nie jestem w więzieniu! Latałeś za mną do kościoła, szpiegowałeś mię — i cóż wiesz? Tu codzień podjeżdżają karety, odbiéram listy, wszyscy dziwią się żem taka stała! Żeby cię oduczyć śledzenia, na złość pójdę!

Jan podniósł się, zamknął drzwi, klucz włożył do kieszeni i rzekł: — Idź!—

Małżonka nie zraziła się tem wcale. Skończyła toaletę, włożyła rękawiczki paryzkie, zbliżyła się do drzwi, poruszyła szybko zasuwkę od góry ręką a od dołu nogą — i dosyć było pociągnąć za klamkę, aby otworzyć drzwi bez klucza — ale mąż spostrzegł się, skoczył szybko — i zawołał groźnie:

— Nie pójdziesz! —

— Głupi jesteś! mam interes!

— Może do wujaszka! Co?! Wiem jaki on wuj!

— Wuj czy nie wuj, ale zawsze pan. Cóż mu zrobisz?

— Dostanie kijem, jak go spotkam.

— On, od ciebie? On, rzeczywisty radca! On!! Słowo mu tylko pisnę i wpakują cię na ratusz!! Ty chłopie.

Głośne uderzenie, płacz pani Janowéj i skrzywiony kapelusz, były następstwem téj sceny, nie skończonéj jednak, bo cały pokój zasypano piaskiem z kraszoarek, pękały szklanki, rozlegały się trzaskania i zatrzęsła się kozeta, na którą Jan rzucił żonę, wołając:

— Tu leż! ani kroku, ani pisnąć, bo zabiję na miejscu!! Bodaj ten Wojdalski z piekła nie wyjrzał, za jego swaty! Pani Janowa uczuła potęgę dłoni męża i uległa po szamotaniach daremnych — ale zaczęły się łkania, bicie serca, suchy kaszel i wyrzekła groźbę:

— Bij mię, bij! Zobaczysz, jak cię zabiorą do wojska — wtedy będę panią! *Przystawię ja ci stołka.*

Groźba odniosła skutek. Czegóż takie panie nie mogą? Bojaźń zakołatała do serca przedsiębierczego małżonka, ale umiał ją ukryć. Dopiero po chwili chwycił ją w pół pomimo szamotania, pozwolił jéj zrobić sobie na twarzy ślady paznogietków i mówił:

— Drażnisz się ze mną jak z psem!! Czy ja cię nie kocham, czym nie młody? Czy nie masz co jeść, w co się ubrać? Co było — to było — ale teraz albo cię zabiję, albo będziesz dobrą żoną!

Długo jeszcze drgały im piersi resztkami wybuchu, rozlegały się szlochania — ale wszystko ma swój koniec.

Po dwóch godzinach milczenia, po wypi-

ciu dwóch butelek sody, małżeństwo wyszło na przechadzkę o zmroku. Tylko ona miała na twarzy plamy czerwone, on krésę pod okiem — i wzdychali oboje, co przechodnie brali za oznakę miłości.

Noc powróciła dobrą harmonję.

V.

Wypada z kolei rzeczy zajrzeć i do Józefa. Za sklepem, zajmował on jeszcze dwa pokoje: jeden z tych, większy, przeznaczony na warsztat — drugi, za którym znajdowała się kuchnia, służył za bawialny i sypialny dla państwa Małpkowskich.

Bo i on się ożenił — ale jego żona nie potrzebowała ani cudzych włosów — ani sztucznych rumieńców. Była to 17-sto letnia blondynka, córka dosyć zamożnego kapelusznika, ładna, miła, wesoła jak ptaszek, wyraźnie przyzwyczajona do pracy, bo pomagała mężowi utrzymując rachunki, zyskiwała na stołowaniu czeladników — a nawet sama zarabiała odszywając kamizelki, piku-

jąc kołnierze żakietów, doznając w pracy rozrywki i przyjemności.

Nie wziął on za nią wielkiego posagu, bo tylko 4,000 złotych na spłacenie wspólnika — ale szło im tak dobrze przy zgodzie i miłości że mogli sobie pozwalać drobnych przyjemności i wygódek, nie nadwerężając zbytecznie dochodów.

Pan Wojdalski, bardzo często odwiedzał ich wieczorami, gdy po zamknięciu sklepu małżonkowie zasiadali już do herbaty — a chociaż nie on swatał Józefa, co mu ciężyło na sercu, nie przestawał marzyć że zrobi coś dobrego dla niego i sam na tem skorzysta.

— Panie dobrodzieju! mówił on gestykulując (gdy wróciliśmy do Małpkowskiego) niesłuchasz mię — to źle! Radzę — zapłacić co tydzień ogłoszenie w gazetach o twoim zakładzie, napisać sobie kilka podziękowań za wykończanie roboty, to ci pomoże chociażbyś dawał nawet gorsze materjały. Ludzie zawsze są ludźmi, trzeba im trąbić w uszy o naszych cnotach!

— Tego mię pan nie nauczy nigdy! odpowiedział Józef. Dzięki Bogu, idzie nam

dobrze, na co mam wdawać się w takie rzeczy!

— I ja tak sądzę, dodała jego żona.

— A! na upór niéma lekarstwa, zawołał Małpkowski. Nie chcecie słuchać, niechajże wam idzie ciężéj! Czy to źle Janowi żem go wyswatał? Z mojéj ręki wszystko szczęśliwe! Ma ładną żonę, wziął piękne sprzęty, posag, kochają się, kupujących ma mnóstwo...

— I cóż jeszcze? zawołał przerywając mu wchodzący Jean.

— Do wojska cię nie wzieli, zrobiłeś karjerę.

— Ale ją wzięli do wojska. Uciekła mi w nocy z rotmistrzem od huzarów i zabrała wszystko co było. Niechaj pana piorun trzaśnie ze swatami i z karjerą! zawołał głosem grzmiącym, zataczając się i padając na krzesło, bo od tego wypadku zaczął używać trunku na frasunek.

Krótka karjera — ale drogo okupiona!

H. Przybysławski

ROZPRAWA FILOZOFICZNA



Młody. Nasze życie — jest to bankiet...
Stary. I przepicie.

Z NOWEGO ŚWIATA,

SCENA Z PROLOGIEM.

CZAS JAKO PROLOG.

Niewiastę wam pokażę, dwóch braci i węża.
Każdy z nich chce ją posiąść—są więc trzy przeszko-
Czyli którego z braci poślubi za męża? — [dy.
Czy zostanie westalką? — Czy jabłkiem niezgody?
Człek choćby bez biretu natychmiast odgadnie..
Gdy mu powiem, że w smutku sam przed sceną płonę,
Dwaj bracia bić się będą, żaden z nich nie padnie—
Ale padnie ktoś trzeci!.. Odchylam zasłonę!

(Dziewicze lasy. Niewiasta w wieńcu gwiazdzistym stoi na skale. Dwaj bracia u stóp jéj przygotowani do pojedynku).

BRAT I.

O niechaj powiem narodów rodzinie!
Niech się dowiedzą korony i mitry —
Że ja ją kocham, ja sam, ja jedynie!
Że jéj nie kocha — on! ten brat mój chytry!

Łotr, z potu czarnych ssie słodkie kanary —
Łotr, ze krwi czarnych płucze kruszec złoty —
Łotr, wieniec gwiazd jéj chce przekuć w dolary—
Łotr, chce z jéj czoła zmazać blaski cnoty,
I wtłoczyć w rękę haniebne narzędzie!...
Łotr, on do zbrodni chce nająć włodarkę!
O! klnę się na krew, z tego nic nie będzie!

BRAT II.

Wściekłym językiem cierpliwości miarkę
Już wychłeptałeś — wylizałeś do dna,
Psie zajuszony! Jak fałszywą strunę
Ja ci go wydrę — warga klapnie głodna —
Nie szczekniesz więcéj, bo ci w gębę plunę!
Zgaszę ten wulkan co jad z żółci bryzga! —
Ta którą kocham jest mych skarbów panią!
On się nie do niéj a do nich umizga,
On chce te skarby w posagu wziąść za nią,
A ze mnie zrobić swéj łaski żebraka!...
Gdy o tém wspomnę... szpik mi trzęsą dreszcze!
Sam się zdumiewam, żem cię jak robaka
Nie zdeptał dotąd — lecz nadepnę jeszcze!
I jak ze stopnia sięgnę po jéj wianek,
W purpurze krwi twéj — ja — prawy kochanek!

(Uderzają na siebie. Dźwiękiem oręża spłoszony wąż rzuca się na niewiastę. Krzyk jéj dochodzi widzów nie słyszany przez aktorów).

GŁOS NIEWIASTY.

Jestem i padam w grzechotnika kłębach!
Kurcz twarz mi ściąga i dzwoni po zębach —
Oczy nabiegły i wzdęły się płuca —
Ręka omdlała w pierścieniach się targa —
I z jękiem krew się na usta wyrzuca,
I krwawą różą rozkwitnęła warga!

— O, czyliż jaki dobry anioł chętny
Zerwać ją wprzódy białem skrzydłem zdąży —
Nim oblubieniec, nim ten mój namiętny,
Łaknące żądło w jéj sercu pogrąży?... —

(*Zasłona spada*).

Stefan Giller.

ROZBIÓR TEORYI LOKKA

O WOLI, DUSZY I BOGU.

Wszystkie fakta, które mogą podpaść pod sumienie człowieka i rozwagę filozofa wywiązują się w trzy zasadnicze fakta obejmujące sobą wszystkie inne; trzy fakta w naturze nie będące odosobnionemi, oddalonemi od siebie, a które mimo to nie mniéj są różne. Rozbiór ścisły i staranny powinien rozróżnić w umyśle te fakta, nierozdzielając ich. Te trzy fakta są: czuć, myślić, czynić.

Otwieram książkę i czytam, rozłóżmy ten fakt, a zobaczymy w nim owe trzy pierwiastki.

Przypuszczam że nie widzę wcale zgłosek

z których składa się każda stronnica, ani porządku, ani kształtu tych zgłosek; oczywistem jest, że nie pojmę znaczenia przywiązanego do tych zgłosek i że tém samém nie będę czytał. Widzieć jest tu warunkiem czytania. Ale widzieć nie jest to już czytać, bo chociaż widziemy zgłoski nic jeszcze nie zrobiliśmy, jeżeli pojętność nie doda się do zmysłu widzenia, aby pojąć znaczenie zgłosek widzialnych.

Owóż dwa fakta, które rozbiór bardzo powierzchowny odróżnia w czytaniu. Zobaczmy jaki jest charakter tych dwóch faktów:

Czyż ja jestem przyczyną widzenia i w ogóle czucia? Czyż mam uznanie, że jestem sprężyną tego fenomenu? Czyż mogę go zacząć, przedłużać, przerwać, powiększyć, zmniejszyć utrzymać lub znieść jak mi się to podoba. Biorę inny przykład więcéj uderzający. Przypuszczam że naciskam narzędzie ostre, z tego powodu powstaje czucie bolesne. Przybliżam różę do nosa, z tego powodu powstaje czucie miłe, i czyż to ja wydaję ten fenomen? Czyż mogę rozkazać im aby ustały? Czyż cierpienie i lubość przy-

chodzą i odchodzą podług mojéj woli? Nie, wystawiony jestem na cierpienie jak na rozkosz, pierwsze i drugie przychodzą, są i nikną bez mojéj woli, słowem fenomena czucia nacechowane są niezbitym charakterem konieczności.

Rozbierzmy teraz charakter drugiego faktu. Czucie poprzedza go ale nie stanowi, kiedy czucie spełniło się, pojętność chwyta za to czucie i naprzód wyrzeka, że to czucie ma za przyczynę narzędzie ostre, różę i powracając do naszego przykładu, zgłoski widziane—owóż taki sąd wydaje naprzód pojętność. Co więcéj, natychmiast gdy czucie przez pojętność odniesionem będzie do jakiejś zewnętrznéj przyczyny, to jest do zgłosek i wyrazów utworzonych przez zgłoski, taż sama pojętność pojmuje znaczenie zgłosek i wyrazów utworzonych przez zgłoski, i sądzi że te zdania utworzone przez te wyrazy są prawdziwe lub fałszywe. Pojętność sądzi tedy, że czucie doznane ma przyczynę, ale pytam się czy może sądzić że nie ma przyczyny? Nie! Pojętność nie może sądzić że to lub owo czucie nie ma przyczyny, że

niepodobieństwem było dla czucia być lub nie być, gdy narzędzie ostre było w ranie, albo róża przy zmyśle powonienia, albo książka przed oczami. I nie tylko pojętność sądzi koniecznie, że czucie odnosi się do przyczyny, ale sądzi także koniecznie, że zdania zawarte w wierszach widzianych okiem, są prawdziwe lub fałszywe, np. że 2 a 2 są 4 a nie 5 i t. d. Tego nie można zaprzeczyć. Pytam się jeszcze czy jest w mocy pojętności osądzić dowolnie, że czyn o którym mowa w książce jest dobry, lub zły, że kształt który opisuje jest ładny lub brzydki? Na żaden sposób! Prawda że różne pojętności, albo jedna i taż sama pojętność w rozmaitych chwilach swego działania wydaje sądy bardzo różne o jednéj rzeczy; często nawet myli się, osądzi za prawdziwe to, co jest fałszywem, za dobre co jest złem, za piękne co jest brzydkie, i odwrotnie, ale w chwili gdy sądzi, że zdanie jakie jest prawdziwe lub fałszywe, że czyn jaki jest dobry lub zły, że kształt jaki jest piękny lub brzydki, w téj chwili powiadam nie jest w mocy pojętności wydać dwusprzeczne jakie sądy; posłuszną

ona jest swym własnym prawom, których nie postanowiła, ustępuje przed popędami, które ją w tę a nie w inną przeciągają stronę, bez żadnego ucześnictwa woli, słowem fenomen pojętności, pojmować, sądzić, znać, myślić, jakkolwiek go nazwiemy, naznaczony jest tym samym charakterem konieczności, jak i fenomen czucia. Jeżeli więc czułość i pojętność są pod władzą konieczności, to nie tu szukać trzeba wolności. Gdzież więc szukać jéj będziemy? Jedno jeszcze mamy miejsce gdzie możemy ją znaleźć? Jest to ów trzeci fakt, pomieszczony z dwoma pierwszemi, którego jeszcze nie rozbieraliśmy. Musimy ją tam znaleźć, albo już jéj nigdzie nie znajdziemy, i wolność będzie tylko chimerą.

Widzieć i czuć, sądzić i pojmować, nie wyczerpują faktu będącego przedmiotem naszéj rozkładni. Gdybym nie patrzał na zgłoski téj książki, czyżbym je widział wy- wyraźnie? Gdybym widząc te zgłoski nie zwrócił na nie uwagi czyżbym je pojął? Gdybym zamiast mieć otwartą książkę, zamknął ją, czyż pojęcie wyrazów, a następnie

ich myśli miałoby miejsce, i czyż fakt czytania byłby zupełnym? Nie zapewne! A cóż to jest otworzyć książkę, zwrócić uwagę, patrzéć? To nie jest ani czuć, ani pojmować, bo patrzeć nie jest spostrzegać, gdy nie ma wzroku, albo mamy popsuty; zwrócić uwagę nie jest jeszcze pojąć, jest to warunek niezbędny ale nie powód wystarczający, nie dosyć jest zwrócić uwagę na podanie aby je rozwiązać; uwaga nie mieści w sobie pojmowania, jak i sama znowu mieści się w czułości. Być uważnym, jest to działać, jest to odbywać ruch wewnętrzny lub zewnętrzny, jest fenomen nowy którego nie można mieszać z owemi dwoma pierwszemi, chociaż miesza się z niemi nieustannie i razem z niemi stanowi fakt zupełny, życie. Zbadajmy teraz charakter tego trzeciego faktu fenomen działalności. Musimy naprzód rozmaite rozróżnić rodzaje działania, te działania, których człowiek nie odnosi do siebie samego, chociaż się one w nim samym odbywają. Inne są które my sami odbywamy, a jednak nic o nich nie wiemy, same się w nas odbywają, my ich nie robimy. W le-

targu, we śnie, uniesieniu, dokonywamy mnóstwa ruchów podobnych do działania, które nawet są działaniem, jeżeli chcecie, ale działaniem z następującemi cechami:

Nie mamy żadnego o nim sumienia nawet wtedy gdy niby wykonywamy je:

Nie pamiętamy wcale, żeśmy je dokonali.

Następnie nie odnosimy je do siebie ani wtedy gdy je dokonywamy, ani wtedy gdyśmy je już dokonali.

Następnie nie należy tedy ono do nas, nie przypisujemy go nam tak jak nie przypisujemy go naszym sąsiadom albo jakiemu mieszkańcowi innéj części świata.

Ale czyż nie ma innych działań oprócz tych? Otwieram książkę, patrzę na zgłoski, zwracam na nie uwagę, są to także działania, a czyż podobne do poprzedzających?

Otwieram książkę czyż wiem o tem, czyż mam sumienie tego? Mam.

Dokonawszy téj czynności, czyż pamiętam o niéj? Pamiętam.

Czyż odnoszę tę czynność do siebie, jako do mnie którym ją wykonał? Odnoszę.

Czyż jestem przekonany, że ona do mnie

należy? Czyż mogę ją przypisać komu innemu tak samo jak mnie samemu, i czyż nie jestem ja sam wyłącznie odpowiedzialnym za nią przedemną? I tu jeszcze odpowiadam sobie samemu — tak.

Nakoniec w chwili, gdy dokonywam téj czynności, czyż nie mam obok uznania, że ja ją robię, innego jeszcze uznania, że mogę nie zrobić jéj? Gdy otwieram książkę, czyż nie mam uznania, sumienia, że ja ją otwieram i że mogę nie otworzyć jéj? Gdy spoglądam, czyż nie wiem od razu, że to ja spoglądam i że mogę nie spoglądać? Gdy zwracam uwagę czyż nie wiem że to ja zwracam uwagę i że mogę nie zwrócić uwagi? Czyż to to nie jest fakt, który każdy z nas w nas samych powtórzyć może tyle razy ile razy mu się podoba w tysiącznych zdarzeniach? Czyż to nie jest niezbite doświadczenie? Czyż to nie jest powszechna wiara rodu ludzkiego. Uogólnijmy teraz i powiedzmy, że są ruchy i działania, które dokonywamy z podwójnem sumieniem, że my to sami robimy je i że możemy nie robić ich.

Owóż czynność którą robimy z tem sumieniem że możemy jéj nie robić, nazywają ludzie czynem wolnym, bo nie ma tu więcéj żadnéj konieczności; w fenomenie czucia nie mogłem nie czuć, kiedy roskosz lub cierpienie podpadło pod moje sumienie, miałem uznanie że czuję i że nie mogę nie czuć. W fenomenie pojmowania nie mogłem nie sądzić, że 2 a 2 są 4; myślałem o tem z tem przeświadczeniem, że myślę tak i że nie myśleć tak nie mogę.

W pewnych poruszeniach nawet tak mało miałem przeświadczenia, że je mogę nie robić, że nie miałem nawet uznania, że je robię, wtedy kiedy je robiłem. Ale w innych razach odbywam pewne czynności z tem przeświadczeniem, że je robię i że mogę ich nie robić, mogę je skrócić albo przedłużyć, skończyć lub zawiesić. Jest rodzaj faktów bardzo rzeczywistych; są bardzo liczne jak mniemam, ale chociażby był tylko jeden sui generis, to i ten jeden wystarczyłby do zatwierdzenia w człowieku owéj potęgi szczególnéj, woli. Nie ma tedy woli ani w czuciu, ani w pojmowaniu, ale tylko w działa-

niu, a i to jeszcze nie we wszystkich faktach należących do tego rzędu, ale tylko w takich, które naznaczone są szczególną cechą to jest w takich czynach, które robimy z tem przeświadczeniem że my je robimy i że możemy nie robić ich. Wywiódłszy tym sposobem czyn wolny, trzeba go zbadać staranniéj. Czyn wolny jest to fenomen zamykający w sobie mnóstwo rozmaitych pierwiastków pomieszanych z sobą. Działać wolno, jest to działać z tem przeświadczeniem, że możemy nie działać. Otoż robić jaką czynność z przeświadczeniem, że jéj możemy nie robić, jest to przenieść zrobienie nad nie zrobienie, zacząć czynność mogąc jéj nie zacząć jest to wybrać zaczęcie, przedłużać ją mogąc ją zawiesić, jest to wybrać wykonanie. Przenoszenie czego nad co, przypuszcza powody przenoszenia, powody robienia jakiéj czynności, powody nie robienia jéj przypuszczają wiedzę tych powodów i że przeniesiono tamte nad te, przeniesienie przypuszcza powody za i przeciw. Czy te powody będą namiętnościami czy ideami, prawdami lub błędami, tem lub owem, nie idzie

o to, ale idzie jaka siła jest tu w grze, która poznaje powody, która przenosi jedne nad drugie, która sądzi, że jedne powody trzeba przenieść nad drugie, bo przenieść jest to sąd właśnie. Owóż cóż sądzi, cóż poznaje jeżeli nie pojętność? Pojętność tedy jest siłą przenoszącą. Lecz aby przenieść powody jedne nad drugie aby osądzić że trzeba przenieść te nad tamte, nie dosyć jest poznać te rozmaite powody, trzeba je jeszcze porównać i zważyć, trzeba nad niemi się zastanowić, aby o nich coś postanowić; w saméj rzeczy przenosić jest to sądzić, jest wnioskować. A cóż to jest rozważać? Jest to badać z powątpiewaniem jeszcze, śledzić względną słuszność powodów, bez onéj oczywistości która unosi nas do wyrzeczenia sądu, do wyrobienia sobie przekonania do przenoszenia czegoś nad co. A cóż to jest to co bada, co wątpi, co sądzi, że nie trzeba jeszcze sądzić aby lepiéj osądzić? Oczywiście pojętność, ta sama pojętność która wyrobiwszy sobie wiele sądów poprzedniczych odrzuci je potem bo osądzi że są mniéj prawdziwe, mniéj słuszne, niż inne, to jest

przeniesie jedne nad drugie rozważywszy je wprzód. W pojętności tedy odbywają się fenomena przenoszenia i inne fenomena ztamtąd wynikłe. Dotąd jesteśmy jeszcze w kołe pojętności, a nie w kole działania. Wiecie zapewne. że pojętność ma swe warunki, nikt nie bada kto nie chce badać, i wola miesza się z rozważaniem, ale jest to prosty warunek, nie jest to grunt fenomenu, bo jeżeli jest prawdą że bez siły chcenia wszelkie badanie i rozważanie jest niepodobnem, równie prawdą jest że siłą badującą i rozważającą, siłą będącą przedmiotem badania i sądzenia odrzucającego lub przyznającego, jest pojętność. Rozważanie tedy, wnioskowanie i przenoszenie, są to fakta czysto umysłowe.

Idźmy daléj.

Pojęliśmy już rozmaite powody do zrobienia jakiéj czynności, albo do nie zrobienia, rozważyliśmy te powody, przenieśliśmy jedne nad drugie, wnieśliśmy że trzeba raczéj zrobić niż nie zrobić—ale wnieść że trzeba zrobić, a zrobić, nie jest jeszcze jedno i toż samo.

Kiedy pojętność osądziła, że trzeba to lub owo zrobić dla takich lub innych powodów, wypada potem przyjść do zrobienia, to jest naprzód do ośmielenia się, do powiedzenia sobie, nie, że powinienem to uczynić, ale że chcę to uczynić. Owóż siła która mówi ja powinienem to uczynić, nie może tu być siłą która mówi ja chcę to uczynić, postanawiam to uczynić. Tu rola pojętności zupełnie ustaje.

Powinienem to uczynić to jest sąd, chcę uczynić nie jest sąd, a zatem nie jest to fenomen umysłowy. W saméj rzeczy gdy postanawiamy uczynić co, postanawiamy z tem przekonaniem, że moglibyśmy co innego postanowić.. Owóż nowy pierwiastek którego nie można mieszać z poprzedzającym, tym pierwiastkiem jest wola. Niedawno chodziło nam o sąd, o wiedzę, a teraz nam idzie o chcenie! Mówię o chcenie a nie o zrobienie, ponieważ jak sąd powinienem zrobić, nie jest jeszcze sądem że chcę zrobić, tak samo chcenie zrobić nie jest jeszcze robić. Chcenie jest czynem a nie sądem, ale jest czynem zupełnie wewnętrznym. Oczy-

wiście ten czyn nie jest czynnością właściwą aby dojść aż do czynności, trzeba wyjść z wewnętrzności woli do zewnętrznego świata, w którym odbywa się wszelka czynność którą pojęliście, rozważyliście, przenieśliście, osądziliście że potrzeba ją zrobić, że chcecie ją zrobić.

Gdyby nie było zewnętrznego świata, nie byłoby czynności skończonéj, nie tylko potrzeba żeby był świat zewnętrzny, ale jeszcze trzeba aby siła chcenia którąśmy poznali po owéj sile pojmowania, i sądzenia wiązała się z inną siłą, z siłą fizyczną, służącą jéj za narzędzie do zetknięcia się z zewnętrznym światem. Przypuszczam, że wola nie była by związaną z organizmem, nie byłoby mostu pomiędzy wolą i światem zewnętrznym, żadna czynność zewnętrzna nie byłaby możliwa. Potęgą fizyczną konieczną dla czynności jest organizm, a w tym organizmie system muskularny jest narzędziem szczególnym woli. Zniszczcie tylko system muskularny, a nie będzie żadnego usiłowania a zatem żadnego ruchu możliwego, a gdy nie będzie ruchu, nie może być zadna czyn-

ność zewnętrzna możliwą. Tak więc zebrawszy wszystko, czynność każda zewnętrzna rozwija się na trzy pierwiastki zupełnie różne: 1. Pierwiastek umysłowy składający się z rozpoznania powodów za i przeciw, z rozważania, przeniesienia i wyboru. 2. Pierwiastek chcenia który ni mniéj ni więcéj, jest wewnętrznem postanowieniem zrobienia czego. 3. Pierwiastek fizyczny, czyli czynność zewnętrzna.

Jeżeli te trzy pierwiastki wyczerpują czynność, to jest fenomen, w ktorym uznaliśmy charakter wolności dla przeciwieństwa z fenomenami pojętności i czucia, w których nie ma tego charakteru; idzie teraz oto, aby zbadać na który z tych trzech pierwiastków pada wolność, to jest siła działania mająca to przekonanie że może także i nie działać. Ta siła czyż pada na pierwszy pierwiastek umysłowy czynności wolnéj? Nie! bo nie jest w mocy człowieka sądzić, że ten powód jest lepszy od tamtego, nie jesteśmy panami naszego wyboru, przenosimy ten powód nad tamten, wybieramy za lub przeciw podług naszéj umysłowéj przyrody mającéj niezbite

prawa i nie mającéj sumienia, że może przenosić lub sądzić inaczéj, owszem mającéj to przekonanie, że nie może przenosić, ani inaczéj sądzić, tylko tak jak przeniosła i osądziła. Nie w tym tedy pierwiastku trzeba szukać wolności. Równie także ani w trzecim to jest w czynności fizycznéj, bo ta czynność przypuszcza świat zewnętrzny, organizm odpowiedni sobie, a w tym organizmie system muskularny zdrowy i stosowny, bez czego fizyczna czynność jest niepodobną. Kiedy spełniamy czynność mamy przeświadczenie że robimy, ale pod tym warunkiem, że mamy do tego teatr, którym nierozporządzamy, że mamy narzędzia któremi rozporządzamy bardzo względnie, bo nie możemy uchwycić ich gdy się wymkną a wymykają się co chwila, ani poprawić gdy się popsują i zdradzają nas, a zdradzają nas bardzo często, idą za właściwemi sobie prawami, na które zupełnie nie wpływamy i które ledwie znamy, a zatém działamy tu bez przekonania że możemy co innego robić niż to co robimy. Zatém ani na pierwszy, ani na trzeci pier-

wiastek nie pada wolność, więc musi być w drugim i jest w nim rzeczywiście.

Opuśćmy pierwszy i trzeci pierwiastek sąd i czynność fizyczną, a niech zostanie tylko drugi pierwiastek chcenie, — rozkładnia wyśledza w nim dwa termina, to jest czyn chcenia i siłę chcenia, do któréj czyn odnosimy. Ten czyn jest skutkiem w stosunku do siły chcenia jako przyczyny, a ta przyczyna aby wydała skutek jest sobie sama teatrem i narzędziem. Wydaje go wprost bez pośrednika i warunku, przedłuża go lub skraca, zawiesza lub zmienia; stwarza cały lub niszczy cały, a w chwili gdy objawia się czynem tak przygotowanym mamy sumienie, że mogła się objawić czynem wprost przeciwnym, bez żadnéj przeszkody nie wyczerpując się wcale, tak że gdyby zmieniła dziesięć razy, sto razy czyny chcenia, siła chcenia zostaje najzupełniéj całą, tąż samą, chociaż wiecznie rozmaitą w zastósowaniach, mogącą jeszcze zrobić to czego jeszcze nie robi, albo nie zrobić co robi. Owóż tutaj widzicie pełność i rzeczywistość wolności.

Gdyby brakowało woli całego świata, gdy-

by był tylko organizm i system muskularny, wola mogłaby jeszcze sprawiać usiłowania muskularne, a tém samém fakt zmysłowy, chociażby ten fakt nie przeszedł za granice organizmu, i to bardzo dobrze wyrozumował Biran, (*) który w usiłowaniu muskularném widział typ przyczynowości, woli i wolności. Ale chociaż chętnie przyznaję z nim razem w usiłowaniu muskularném, w sumieniu tego usiłowania i czuciu towarzyszącemu mu, najświetniejszy typ i najwidoczniejszy naszéj potęgi przyczynowéj, chcącéj i wolnéj, powiadam jednak, że to jest zawsze tylko zewnętrzny i pochodny typ, a nie pierwotny i nietreściwy, a Biran powinien był swoją teorję doprowadzić aż do ostateczności, że gdzie nie ma muszkułów, albo są sparaliżowane, tam nie będzie przyczynowości, chcenia, fenomenu czynnego i wolnego. Utrzymuję zupełnie przeciwnie, utrzymuję, że gdyby usunięto świat zewnętrzny, system muskularny, lokomotora, gdyby zo-

(*) Fragment philosophiques. Exemen des leçons de M. Lamosiguiere.

stała człowiekowi przy organizmie najzupełniéj nerwowym, pojętność mogąca pojmować powody, rozważać, przenosić i wybierać zostałaby mu zarazem siła chcenia, która działała w czynach szczególnych, w chceniach, w których jaśniałaby przyczynowość i wolność woli, wtedy nawet, gdy owe skutki, owe chcenia wolne nie wydobyły się z wewnętrznego światła woli, chociażby nie miały przeciwwagi w systemie muskularnym i nie sprawiły wcale fenomenu usiłowania muskularnego, fenomenu wewnętrznego w stosunku do świata zewnętrznego, ale zewnętrznego w stosunku do woli. Tak więc przypuszczam, że chcę poruszyć ramieniem, chociaż nie mogę niém poruszyć bo mi brak muszkułów i tutaj widzicie 1) czyn chcenia poruszyć ramieniem, chcenie gatunkowe, 2) siłę ogólną chcenia będącą przyczyną bezpośrednią tego chcenia gatunkowego; będzie więc skutek i przyczyna, będzie sumienie tego skutku i przyczyny, czynności przyczynowéj, siły przyczynowéj wewnętrznéj najwyższéj w owym świecie, w świecie chcenia, wtedy nawet, chociażby nie mogła wcale

przejść w czyn zewnętrzny, bo by jéj brakowałoby systemu muskularnego i lokomotora.

Teorja tedy Birana chwyta działanie wolne w objawieniu się jego zewnętrzném, a nie w jego głębi — chwyta je w fakcie ważnym prawda, ale przypuszczającym poprzednika sobie, inny fakt głęboki i wewnętrzny chcenia z jego skutkiem bezpośrednim i właściwym. Tam to jest podług mnie typ pierwotnej wolności.

Kiedy szukamy wolności w działaniu, możemy dwojako błądzić:

Szukamy jéj albo w tém, co nazwałem pierwiastkiem umysłowym działania, wiedzą powodów, rozważaniem, przeniesieniem, wyborem—i tu nie znajdujemy jéj, bo oczywistém jest że rozmaite powody za i przeciw panują nad pojętnością, a zatém nie jest ona wolną w sądzeniu tak lub owak, w przeniesieniu tego nad tamto. Nie można znaleźć wolności w części umysłowéj działania i powiadamy że nie ma wolności—i prawda tutaj jéj nie ma, ale może jest gdzieindziéj; takim sposobem błądzimy raz.

Albo szukamy wolności w pierwiastku fi-

zycznym czynności i nie znajdujemy jéj tutaj, a przynajmniéj nie ma jéj wyraźnie, bo każda czynność nie odbija chcenia i bierze pokusa powiedziéć, że wolność jest przypadkiem zależącym od warunków fizycznych zewnętrznych lub wewnętrznych; nie widzi w nim znaku potęgi treściwéj i zasadniczéj natury ludzkiéj, takim sposobem błądzimy drugi raz.

Odnieśmy teraz te dwa błędy do ich przyczyn najogólniejszych, to jest rozbierzmy je w stosunku do metody scientyficznéj to się okaże, że ów pierwszy błąd powstaje ztąd, że szukamy fenomenu wolności w poprzedniku tego fenomenu, to jest w fakcie umysłowym, który poprzedza zawsze wolną wolę, ale który nie zapładnia jéj, ani jéj w sobie nie zawiera, jak np. przyczyna wydaje koniecznie skutek. Drugi błąd powstaje dla tego, że szukamy fenomenu wolności w następniku fenomenu, to jest w fakcie zmysłowym, który czasem następuje po chceniu, a czasem nie następuje, ale od niego wprost nie pochodzi. To naprowadza nas na ogólną przyczynę błędów Lokka, to

jest na pomięszanie idei z inną co ją poprzedza, albo po niéj następuje.

Lokk zaczyna (k. 11. r. 21. § 5.) od tego że dzieli wszystkie fenomena sumienia nie na trzy rodzaje, ale na dwa tylko, myślenie i chcenie; ten podział jest radykalnie fałszywym i sprzecznym z faktami.

Następuje potém podział czynności.

„Wszystkie czynności o których mamy jaką ideę sprowadzić można do tych dwóch: poruszać i myśléć § 8. Podług Lokka wola obejmuje albo obie te czynności, myśl i ruch, albo jednę tylko ruch". Ta siła za pomocą któréj nasz umysł rozrządza obecnością lub nieobecnością jakiéj szczegółowéj idei, przenosi poruszenie jakiéj części ciała nad spoczynek téj saméj części albo przeciwnie, ta siła nazywa się wolą; a użycie téj siły to jest działanie albo niedziałanie nazywamy chceniem, tamże § 5.

Otóż widzicie, że tutaj wola stosuje się do działania umysłu i do ruchów ciała. Daléj zobaczycie, że stosuje się tylko do ruchów.

„Chcenie, jest oczywiście działaniem umysłu, który z wiedzy o tém wywiera władzę

swoją na jaką część człowieka, aby ją zmusić do jakiéj szczególnéj czynności, albo ją od niéj odwrócić, tamże § 15".

Widzicie, że teorja woli w Lokku jest tak samo ruchliwą, tak samo niestałą jak i inne teorje. Zresztą w obu razach równy błąd. Bo czyli Lokk będzie szukał woli w umyśle, jasna rzecz że nie znajdzie tam wolności, bo nie ma i nie może być wolności w działaniu myśli. Lokk błądzi mięszając jeden fenomen z innym który tamten poprzedza i nie mieści go w sobie. Albo jeżeli się spodoba Lokkowi przez wolę rozumieć siłę poruszania swem ciałem, jasna rzecz że i w téj sile nie znajdzie wolności, bo wiecie że nasza potęga fizyczna jest ograniczoną ze wszystkich stron, którą nie rozrządzamy z tem przeświadczeniem, że moglibyśmy inaczéj zrobić niż zrobiliśmy. Owóż Lokk błądzi tu, bo mięsza fenomen wewnętrzny chcenia z zewnętrznym fenomenem ruchu, który następuje po chceniu. A jednak na nim to osadza Lokk całą swoją teorję wolności, teorję pełną niekonsekwencji, która miesza wolę z zastosowaniem woli, z widzialną zewnętrzną

czynnością. Jeżeli wola jest tylko siłą ruchu, to nigdy nie będzie zupełnie wolną. Lokk przyszedł istotnie do tego wniosku.

Tamże § 14. „Wolność nie należy do woli, a jeżeli to jest prawdą, a wierzę że jest prawdą, czyby nie można tym sposobem ukończyć sporów od tak dawna toczących się, a bardzo nierozumnych, bo niezrozumiałych, to jest czy wola człowieka jest wolną lub nie? To pytanie bardzo źle pojmowano, bo pytać się człowieka czy jego wola jest wolną, jest to wpaść w bezrozum oczywisty, jest to tož samo coby się go zapytać, czy jego sen jest prędki, czy jego cnota kwadrowata".

§ 10. „Nasza idea o wolności rozciąga się tak daleko jak moc albo niemoc działania i nie przechodzi za tę granicę; bo ile razy jaka przeszkoda wstrzymuje tę moc działania, albo nie działania, lub gdy jaka siła psuje równowagę téj mocy, to nie ma już tam wolności, a pojęcie, jakie mamy o niéj niknie".

Owóż ponieważ niewątpliwą jest rzeczą, że tysiące przeszkód stawa przeciw naszéj mocy działania, albo może stawać (oczywi-

ście fizycznéj) idzie zatem, że wolność czasem jest, czasem jéj nie ma, a i wtedy nawet kiedy jest, może być albo nie być podług téj lub owéj zewnętrznéj okoliczności. Tłumaczyć tym sposobem wolność, jest to niszczyć ją. Wolność nie może być ani w sile myślenia, ani w mocy działania, bo te mają konieczne i niezmienne dla siebie prawa, ale w czystéj mocy chcenia, która ma zawsze przy sobie sumienie możności, nie mówię myślenia, nie mówię czynienia, ale chcenia czegoś inszego niż teraz chce. Lokk zgniótł wolność odmawiając ją woli, a szukając ją w myśli i w mocy ruchu, zgniótł ją, i myślał, że zgniótł zarazem i zadanie samo o wolności. Ale wiara rodu ludzkiego protestuje się przeciw zniesieniu wolności, a historja, cała filozofia protestuje się przeciw zniszczeniu zadania o niéj.

Przechodzę teraz do innéj teoryi o naturze duszy.

Widzieliście już że niepodobieństwem jest poznać jakikolwiek fenomen sumienia, jakikolwiek fenomen czucia chcenia i myślenia, aby go zaraz nie odnieść do jakiegoś przed-

miotu pojedynczego i tożsamego, do ja; tak samo nie możemy poznać fenomenów zewnętrznych oporu, stałości, nieprzenikliwości, kształtu, koloru, zapachu, smaku i t. d., aby nie pomyśleć zaraz że to nie są fenomena powietrzne, ale należące do czegoś rzeczywistego, co jest stałem, nieprzenikliwem, kształtowem, kolorowem, pachnącem i t. d. Z drugiéj strony jeżelibyście nie znali żadnego z fenomenów sumienia, nie mielibyście najmniejszéj idei o podmiocie tych fenomenów, a zatem i charaktery tych fenomenów, czy to sumienia czy zewnętrznych, są jedynemi dla nas oznakami natury podmiotów tych fenomenów. Badając fenomena podpadające pod zmysły, widzimy wielką między nimi różnicę i ztąd powstały owe główne, podrzędne własności ciał; nie będziemy o nich mówili, ale przypomnę tylko, że z pomiędzy pierwszego rzędu własności, stałość wyrobiona przez czucie oporu, koniecznie mieści w sobie kształt. Przeciwnie, gdy badać będziecie fenomena sumienia, nie znajdziecie tu ani oporu, ani stałości, ani kształtu, widzicie że fenomena sumienia nie mają ani

kształtu, ani stałości, ani nieprzenikliwości, ani oporu, a tem więcéj jeszcze żadnéj z podrzędnych własności, ani koloru, ani zapachu ani smaku i t. d. Owoż ponieważ podmiot jest dla was zbiorem fenomenów objawiających go, więcéj jego własnym bytem, idzie zatem, że pod fenomenami oznaczonemi różnym i zupełnie sobie obcym charakterem, umysł ludzki musi pojmować inne i zupełnie niepodobne sobie przedmioty. Tak więc ponieważ stałość, kształt, nie mają nic wspólnego z czuciem, wolą i myśleniem, ponieważ wszystko stałe jest przestronném dla nas i mieścimy je w przestrzeni, gdy nasze myśli, chcenia i uczucia są nieprzestronne i nie mieszczą się w pewnéj przestrzeni, ale tylko w czasie, to umysł ludzki wnosi z tego z dokładnością najściślejszą, że podmiot fenomenów zewnętrznych ma charakter swych fenomenów, a podmiot fenomenów sumienia ma także charakter swych fenomenów że pierwszy jest stałym i rozciągłym, a drugi ani stałym, ani rozciągłym. Nakoniec ponieważ to, co jest stałém i rozległem jest zarazem podzielnem i ponieważ

to co nie jest stałem i rozciągłem jest nie podzielnem, ztąd podzielność właściwa jest podmiotowi stałemu i rozciągłemu, a niepodzielność właściwą podmiotowi który nie jest ani stałym, ani rozciągłym. Któż z nas nie wierzy, że jest istotą niepodzielną, i pojedynczą, jedną i tąż samą wczoraj, dziś i jutro? A więc wyraz ciało, materja, oznacza podmiot fenomenów zewnętrznych, z których najwybitniejsze są: kształt, stałość, rozciągłość, podzielność. Wyraz duch, dusza oznacza podmiot fenomenów sumienia, myśl, chcenie, czucie fenomenów prostych, pojedynczych, nie rozciągłych nie stałych i t. d. Owóż cała idea ducha i cała idea materji. Nie ma nic więcéj w idei materji tylko idea zbioru własności zmysłowych, więcéj bytem podmiotu wcielonym w te własności, nie ma nic więcéj w idei ducha, tylko idea zbioru fenomenów sumienia, więcéj bytem podmiotu do którego te fenomena należą i współbytują. Zobaczcież teraz czego potrzeba, aby przywieść do tożsamości materją z duchem, albo ducha z materją: potrzebą przypuścić, że czucie, chcenie i myślenie,

można wprowadzić do stałości, rozciągłości, kształtu i t. d. albo przeciwnie, że stałość, rozciągłość i kształt można wprowadzić do myśli, woli i czucia. Dla spirytualizmu jest tylko jedna wsobność, to jest duch, bo jeden jest tylko ogólny fenomen to jest sumienie, dla materjalizmu jest także jedna tylko wsobność, materja, bo jest jeden tylko zasadniczy fenomen to jest stałość i rozciągłość. Te są dwa owe wielkie systemata, które zarówno mają w sobie prawdę i błąd (*). Wyświetlam dzisiaj ten fakt, że Lokk skłania się więcéj do jednego niż do drugiego, że prawie wiedziony jest na pokuszenie, aby wydobyć myśl z rozciągłości, a następnie z ducha uczynić jakąś modyfikację materji. Lokk prawda wyraźnie się tu nie tłumaczy, ale przypuszcza że nie jest niepodobném, aby materja oprócz fenomenu rozciągłości, nie mogła także przez pewne usposobienie i ułożenie cząsteczek, wydać z siebie fenomenu myślenia, nie powiada, że dusza jest materjalną, ale powiada, że to może być.

(*) Zobacz Rozmaitości Naukowe i Literackie Tom II.

Przytoczę ten ważny ustęp (k. 4. r. 3. § 6.)

„Mamy ideę o materji i o myśli, ale może nigdy nie poznamy czy istota czysto materjalna myśli lub nie, a to z téj przyczyny, że niepodobieństwem jest dojść przez rozważanie naszych własnych ideów, bez objawienia, czy Bóg nie dał jakiemu systematowi cząstek materjalnych, ułożonych stosownie, zdolności spostrzegania i myślenia, lub czy połączył i zjednoczył z materją tak ułożoną inną wsobność nie materjalną, myślącą. Bo jak tu być pewnym, że pewne pojęcia jak np. rozkosz lub cierpienie, nie mogą się znajdować w pewnych ciałach usposobionych do tego tak dobrze, jak we wsobności materjalnéj, w skutek ruchu części ciała?....

Lokk utrzymuje tedy, że bez objawienia, w granicach samego rozumu, nie ma pewności, że dusza jest nie materjalną. Pojmujecie, że gdyby dusza nie była nie materjalną, będzie w wielkiem niebezpieczeństwie o swoją nieśmiertelność, bo jeżeli myśl i sumienie jest tylko wypadkiem kombinacji cząsteczek rozciągłych, podzielnych i materjalnych, to

rozkład tych cząsteczek może pociągnąć za sobą rozkład myśli i duszy. Tu Lokk dodaje. że nie można bać się takiéj następności, bo czy dusza jest materjalna czy nie, zawsze ma przez objawienie zapewnioną nieśmiertelność. „Dla tego téż, mówi daléj, nie ma wielkiéj konieczności, aby się oświadczyć, za lub przeciw nieśmiertelności duszy". A gdy jego przeciwnicy, gdy Dr Stelingfleet zarzuca mu, że czyni zależną nieśmiertelność duszy od tego, co jéj Bóg dał, a nie przyznaje własnéj jéj naturze, Lokk podnosi głos i powiada, że to bluźnierstwo, „to jest, odpowiada on, że wierność Boga nie jest podstawą tak pewną i stałą, aby się można na niéj oprzéć bez świadectwa rozumu, a to tyle znaczy, jeżeliby kto powiedział: że na słowie Boskiem nie można polegać..... Chociaż nie można z dokładnością dowieść że dusza jest nieśmiertelną, to jednak wcale nie zmniejsza oczywistości jéj nieśmiertelności, bo wierność Boga jest okazem prawdy we wszystkiem co objawił, a brak innego okazu nie czyni wątpliwem zdania". Powiada nawet, że taki system jest prawdziwie chrześcjańskim. Za-

pewnie nie wierzę w niego i nieschodząc na to pole, które nie jest naszém, zobaczymy jakie następności pociąga taki system za sobą. Jeżeli niematerjalność duszy jest bardzo wątpliwą i obojętną rzeczą, a jeżeli nieśmiertelnosc duszy równie wątpliwa sama w sobie jak jéj niematerjalność za jedyną podstawę ma słowo Boga, któremu wierzyć trzeba, objawienie chrześcjańskie, to idzie zatem, że każdy który by był tyle nieszczęśliwym, że niedosięgło do niego objawienie chrześcjańskie, że ma za sobą samę tylko pomoc rozumu, że taki nie może prawnie wierzyć w nieśmiertelność i w niematerjalność duszy; tym sposobem cały ród ludzki przed christjanizmem, a po christjanizmie połowę przynajmniéj ludzkości skazujemy na materjalizm. Fakta odpychają tę smutną następność, i fakta świadczą, że ten rozum tak słaby podług Lokka, wystarczał do zapewnienia się i wystarcza jeszcze do utrzymania podwójnego przeświadczenia o nieśmiertelności duszy. Objawienie powszechne i wieczne rozumu (Illuminat omnem hominem venientem in hunc mundum) mniéj

więcéj żywe, mniéj więcéj czyste poprzedziło jednak, przygotowało i uzupełnia drugie objawienie, ktore z wyroków opatrzności, dla postępu i rozwinięcia rodu ludzkiego, zstąpiło na ziemię aby potwierdzić, rozszerzyć i uzupełnić pierwsze. Nakoniec niezapominajcie że to ojciec szkoły sensualnéj XVIII-go wieku oświadcza się przeciw rozumowi, stawia teologją na miejscu filozofii, prawda ze wszelką szczerością, bo wierzy stale w objawienie i chrystjanizm, które ustalają i ocalają nieśmiertelność naszéj istoty. Późniéj zobaczemy w co się obrócą te same wielkie prawdy w rękach następców Lokka, którzy za jego przykładem okrzyczą rozum za niedołężny i słaby pod tym względem, i jak on uciekną się do wiary, do objawienia teologii, zastrzegając sobie zawsze prawo wierzyć albo nie wierzyć w powagę, do któréj się odwołują.

Mniemam, że już dowodnie okazałem, że Lokk szukając wolności tam gdzie jéj nie ma, to jest w sile poruszania, nie mógł jéj znaleźć, a następnie przez tysiączne sprzeczności rzucił filozofję na drogę fatalizmu.

Dowiodłem jeszcze, że chociaż nie twierdził, że dusza jest materjalną i śmiertelną, ale powiada że objawienie tylko może nam dać pewność o duszy naszéj a zatém rzucił filozofję znowu na drogę materjalizmu. Teraz mogę głośno oświadczyć że Lokk bynajmniéj nie popchnął filozofji na drogę ateizmu. Lokk nie tylko jest chrześcjanin, ale nawet jako filozof przyznaje i ogłasza bytność Boga, daje na tę doskonałe dowody, ale zawsze potrzeba dać wam poznać owe dowody, abyście mogli uchwycić ich charakter, wiążący się z duchem ogólnym systematu Lokka.

Rozmaite są dowody bytności Boga, a rozmaite te dowody są mniéj więcéj ścisłe w formie, ale wszystkie mają w swojéj głębi prawdę do któréj dobrać się trzeba i wyprowadzić na jaśnią, aby im zjednać powagę niezbitą. Wszystko prowadzi nas do Boga, nie ma złéj drogi, jeżeli tylko pokaże nam Twórcę. Bardzo różnemi drogami dostajemy się do uznania bytności Najwyższéj Istoty. W ogóle przywiedziono do dwóch głównych działów dowody bytu Boga, to jest dowody a posteriori i dowody a priori. Albo rzu-

cam się z pomocą zmysłów i sumienia w widok i badanie zewnętrznego świata i mego własnego bytu, i po wielu obserwacjach, po wielu indukcjach osadzonych na owych obserwacjach, poznawszy mniéj więcéj głęboko naturę i siebie samego, dorabiam się wiedzy o Bogu i Jego istnieniu, jako Stwórcy człowieka i natury, i takie przekonanie wyrobione ze świata i siebie nazwano dowodem a posteriori bytu Boga. Albo porzucam świat zewnętrzny i zwijam się w siebie, zanurzam się w świat wewnętrzny sumienia i tu nie troszcząc się wcale o liczne fenomena, pożyczam u rozumu jednéj idei, jednéj tylko, która bez pomocy doświadczenia, w rękach tegoż samego rozumu, staje się podstawą okazu bytności Boga, a ten okaz, te ideę nazwano dowodem a priori bytu Boga.

Owoż np. dowód a priori bytności Boga, najsławniejszy bo zamyka w sobie prawie wszystkie inne tegoż samego rodzaju. Kiedy zwijamy się w siebie, pierwszy rzut oka na fenomena sumienia odkrywa nam uderzający rys, niezaprzeczony, że one zaczynają się, wstrzymują, odnawiają się i giną, że

że mają rozmaite stopnie natężenia i energii, że są mniéj więcéj wybitne, słowem są niedoskonałe, ograniczone, skończone. Owóż ów rys, owa wiedza skończoności nie może nam być dana bez tego, żebyśmy zaraz nie pojęli, że jest cóś nieskończonego, kiedy jest skończone. Chociażbyście nie znali zewnętrznego świata, to samo sumienie dałoby wam ideę skończoności, a następnie rozum miałby już podstawę wystarczającą do wyrzeczenia, że jest nieskończoność. Idea nieskończoności w sprzeciwieństwie z ideą skończoności, jest ni mniéj ni więcéj tylko ideą doskonałości w sprzeciwieństwie z ideą niedoskonałości. Bo czemże to jest wasze sumienie dla nas, jeżeli nie uczuciem własnéj naszéj niedoskonałości i słabości? Nie rozrządzam mojemi uczuciami, przychodzą i odchodzą kiedy chcą i jak chcą, pokazują się i nikną, a ja nie mogę ich zatrzymać, ani ich odepchnąć. Nie rozrządzam mojemi sądami, bo one słuchają swych praw, których ja nie napisałem. Rozrządzam moją wolą, prawda, ale jakże często ogranicza się ona na czynnościach wewnętrznych, nie może przejść

w czynność zewnętrzną, a sen, letarg i zawrót namiętności krępują ją widocznie. Ze wszystkich stron skończoność i niedoskonałość moja stawa mi przed oczyma. Ale gdy mam ideę skończoności i niedoskonałości, muszę mieć koniecznie zaraz ideę doskonałości i nieskończoności: te dwie idee są logicznie współwzględne sobie; w porządku chronologicznym idea skończoności i niedoskonałości poprzedza ideę nieskończoności i doskonałości, ale zaledwie ją poprzedza. Nie jest w mocy rozumu, mając wyrobioną ideę skończoności i niedoskonałości, aby natychmiast nie pojął idei nieskończoności i doskonałości. Owóż nieskończoność i doskonałość jest to Bóg sam. A zatem dosyć dla was będzie mieć ideę niedoskonałości i skończoności, aby zaraz mieć ideę nieskończoności i doskonałości, to jest ideę Boga, czy go nazwiecie tem mianem czy nie, czy wyrazicie językiem owe przekonania mimowolne waszego rozumu, czy, nie mając mowy, ono zostanie ciemne i niewyraźne w głębinach duszy waszéj. A zatem nie mam potrzeby udawać się do dzikich ludów, do dzieci, do

idiotów, i pytać ich czy mają ideę Boga, zapytajcie ich raczéj, albo nie pytając się wcale, szukajcie tylko czy mają ideę niedoskonałości i skończoności; a jeżeli ją mają, a nie mogą jéj nie miéć, jeżeli mają chociaż najmniejszą obaczność, to bądźcie pewni, że mają ideę ciemną i pomięszaną o jakiejś rzeczy nieskończonéj i doskonałéj, bądźcie pewni, że to co mają w sobie i w zewnętrznym świecie nie wystarcza im; że poniżają się zarazem i podnoszą do wewnętrznéj wiary w byt czegoś nieskończonego i doskonałego to jest Boga. Nie mają może na to wyrazów, bo i sama idea nie jest jasną i wyróżnioną jeszcze, ale dla tego świeci ona przez obsłonę rodzącéj się pojętności, a filozof badacz bardzo łatwo ją odkrywa.

Nieskończoność i doskonałość dane wam są w skończoności i niedoskonałości, a skończoność i niedoskonałość bezpośrednio macie w waszem sumieniu, jak tylko stawi się wam przed oczy jaki fenomen. Gdy więc idea niedoskonałości i skończoności jest pierwotną, a zatem idea nieskończoności i dosko-

nałości to jest Boga, jako współrzędna tamtéj, jest pierwotną tamtéj.

Idea Boga jest więc pierwotną, ale zkąd ona pochodzi? czyż ona nie jest utworem waszéj wyobraźni, złudzenia, urojenia? Możemy wymarzyć Meduzę, Centaura, i możemy nie wymarzyć także; ale czyż jest to w naszéj mocy mając daną ideę skończoności i niedoskonołości, pojąć albo nie pojąć idei nieskończoności i doskonałości. Nie! gdy pierwsza jest druga być musi. Nie jest to więc urojenie, jest to konieczny wyrób waszego rozumu, a zatém jest wyrób prawny, albo zaprzeczcie waszemu rozumowi, a wtedy nie ma już nic do czynienia ani z rozumem, ani z prawdą, ani z wiedzą, ani z filozofją, albo przyjmijcie powagę rozumu, a zatem i tę, o któréj mowa, jak inną.

Jesteście istotą skończoną i macie konieczną ideę istoty nieskończonéj. Ale jakimże sposobem idea skończoności i niedoskonałości może miéć ideę istoty nieskończonéj i doskonałéj i miéć ją koniecznie, gdyby owa istota nie istniała? Usuńcie Boga nieskończonego i doskonałego, i zostawcie tylko

człowieka skończonego i niedoskonałego, a niepotraficie nigdy wydobyć ze skończoności idei nieskończonéj, z niedoskonałości idei Boga, ale jeżeli Bóg jest, jeżeli doskonałość i niedoskonałość jest, wtedy mój rozum może je pojąć. Widzicie do czego zmierzam, sam fakt pojęcia Boga przez rozum, sama idea Boga, sama możność bytności Boga, już mieści w sobie pewność i konieczność bytu Boga. Taki jest mniéj więcéj okaz słowny bytności Boga a priori; to jest niezależnie od wszelkiego doświadczenia, zobaczemy teraz dowód a posteriori; kilka wyrazów dadzą nam go poznać, bo on objaśnia sam siebie.

Ten dowód zależy na tém, że przychodzimy do Boga drogą indukcji osadzonéj na obserwacji mniéj więcéj przestronnéj. Zamiast cobyście mieli zamknąć zmysły, a roztworzyć sumienie, otwieracie zmysły a zamykacie mniéj więcéj sumienie, aby rozważać naturę i wszechświat, który was czarodziejskim okała kręgiem. Z pomocą kontemplacji mniéj więcéj natężonéj, z pomocą badań mniéj więcéj głębokich, wcielacie się w piękność, po-

rządek, mądrość i doskonałość, rozlane po świecie, a ponieważ musi być w przyczynie przynajmniéj wszystko to, co jest w skutku, to z natury wnosić o Jéj Twórcy, z doskonałości bytu pierwszego wnosicie o istnieniu i doskonałości drugiego.

Dwa te dowody są wyborne, powtarzam, bo zamiast wybiérać który z nich jest lepszy, trzeba tak zrobić jak robi umysł ludzki, oba przyjmuje. W saméj rzeczy tak mało wyłączają się, że jeden zawiéra cóś z drugiego. Okaz a priori np. przypuszcza pierwiastek a posteriori, jakąś daną z obserwacji i doświadczenia, bo chociaż idea nieskończoności i doskonałości, jedności, bezwzględności, prowadzi wprost do Boga, chociaż ta idea daną nam jest przez rozum, a nie przez doświadczenie, nie jest jednak daną zupełnie bez doświadczenia, bo nigdyby rozum nie wyrobił jéj bez współczesnéj lub poprzedniéj idei skończoności i niedoskonałości, wielości, styczności, którą z doświadczenia wyrabia. To doświadczenie jest prawda wewnętrzne więcéj jak zewnętrzne, wyczerpnięte więcéj ze sumienia niż ze zmysłów; a może i to jeszcze

będzie prawdą, że wszelki fenomen sumienia przypuszcza jakiś fenomen zmysłowy współczesny lub poprzedni. Owóż pierwiastek a posteriori, jest warunkiem okazu a priori. Tak samo znowu okaz a posteriori mieści w sobie pierwiastek rozumowy a priori. W saméj rzeczy jakimże to sposobem wnosi się z natury o Bogu? Oto, że przyjmujecie, albo używacie zasady przyczynowości. Bo gdybyście pogardzili tą zasadą, rozważalibyście, badalibyście wiecznie ten świat, uwielbialibyscie wiecznie jego doskonałość, porządek i mądrość, a nigdybyście nie mogli wznieść się do owego wniosku, że to wszystko jest skutkiem, że to wszystko musi mieć swą przyczynę. Odrzućcie zasadę przyczynowości, a nie ma już dla nas żadnych przyczyn, nie ma już ani potrzeby, ani możności szukania ich i znalezienia i indukcja nie przejdzie nigdy ze świata i porządku fizycznego do przyczyny, do Boga. Zasada przyczynowości ma za warunek doświadczenie, ale sama nie wypływa z doświadczenia, ona przypuszcza je i miesza się z niem, ale panuje nad niem i sądzi je: a sama należy zupełnie

do rozumu. Owóż z kolei pierwiastek a priori jest w okazie a posteriori. Zasada tego rozumowania jest doświadczalną, ale narzędzie jego jest racjonalne. Co więcéj ten świat jest pełen harmonii, wierzymy w to wszyscy i im więcéj wpatrujemy się weń przez obserwacją stosowną, tém więcéj uderza nas porządek jego; ale można także samemi patrząc zmysłami widzieć w nim nieład i rozdźwięk, można nie pojąć przyczyn wulkanów zasypujących kwitnące miasta, trzęsienia ziemi, burz i t. d. Słowem obserwacja słaba i ograniczona, nie kierowana zasadą wyższą, może znaleźć w świecie nieład i zło. Owoż jeżeli do takiego ułudnego doświadczenia dodam zasadę racjonalną, że wszystko co jest prawdziwem w skutku, jest także prawdziwem w przyczynie, musicie przypuścić w przyczynie to co jest w skutku, to jest nie tylko rozum, mądrość i potęgę, ale i niedoskonałość poniżającą, jak się to dzieje z najdzielniejszemi umysłami i najdzielniejszymi ludźmi. Nakoniec tyle rozmaitych skutków nie powiązanych między sobą mogłoby nas doprowadzić nie do jedynéj przyczyny, do Bo-

ga jednego, ale do wielu przyczyn, do wielu Bogów. Historja zaświadcza, że obawa nasza nie jest próżną. Widzicie więc, że okaz a posteriori, który wymaga koniecznie zasady racjonalnéj przyczynowości, innych oprócz téj zasad, którehy kierowały zastosowania przyczynowości do doświadczenia, wymaga zasad, które jeżeli mają rządzić doświadczeniem, muszą pochodzić z rozumu, a nie z doświadczenia. Dowód a posteriori przypuszcza tedy wiele pierwiastków a priori. Tak uzupełniony ma równą potęgę, jak dowód a priori dobrze skierowany, na prawdziwych zasadach oparty.

Dwa te okazy nie wyłączają się same, ale jeden lub drugi uderza mniéj więcéj mocno podług kierunku umysłu, położenia moralnego i religijnego ludów i indywiduów. Religja chrześcjańska, religja racjonalna i idealna, osadzona na duchu a nie na zmysłach, używa najwięcéj okazu a priori. Gardzi przyrodą albo ją ubiéra w szaty idealne, a z głębokości duszy przez rozum i słowo wznosi się do Boga. Okaz a priori jest chrześcjańskim per excellentiam, należy się

on panowaniu chrystjanizmu, wiekom średnim i filozofii wyrobionéj przez nie, scholastycyzmowi i ztamtąd to rozwinięty, wyjaśniony, rozlany i upowszechniony w Europie przez wielkich doktorów kościoła, przeszedł z teologii chrześcjańskiéj do szkoły idealnéj filozofii nowożytnéj wprowadzony przez Karterjusza, Malenbrancha, Spinozę, Leibnitz'a, Wolfa i ich następców najnowszych. Przeciwnie naiwne, że je tak nazwę religje pierwszych wieków ludzkości, które nie były jeszcze religjami ducha i prawdy, osadzone jedynie na zmysłach i pozorach, używają zwykle okazu a posteriori, i gdy religja ducha zbyt oddziela Boga od przyrody, bo i okaz na którym się opiera oddziela zbyt rozum i sumienie od zmysłów i doświadczenia, to religje natury czynią sobie obraz Boga na podobieństwo przyrody i odbijają w sobie wszystkie niedoskonałości okazu a posteriori. Są wiedzione na pokuszenie i kładą w przyczynie to wszystko co jest w skutku, a gdy przyroda przedstawia zbiór najrozmaitszych fenomenów, których zgodność i harmonja często im się wymykała,

to też owe religje były politeistyczne, fizyczne, astronomiczne i antropomorficzne. Jak religja chrześcjańska wydaje z siebie filozofją idealną, tak znowu religja przyrody wydaje filozofją sensualną, któréj teodicea ulubiła nad inne okaz a posteriori. Wtedy jedno z dwojga musi nastąpić, albo teodicea sensualna przyjmuje zasadę racjonalną a priori, przyczynowości przeciw duchowi szkoły do któréj należy i wtedy dochodzi do Boga ale niekonsekwentnie, albo odrzuca zasadę przyczynowości, a wtedy nie dochodzi i nie może dojść do Boga, a ponieważ sensualizm mięsza jak wiecie wsobność ze zbiorem własności, to też i tu przyznaje Boga, jako zbiór fenomenów natury, jako zbiór rzeczy tego świata. Ztąd panteizm, teodicea konieczna poganizmu i filozofii sensualnéj. Zastosujemy to wszystko do Lokka. Lokk wierzy w bytność Boga i cudownie jéj dowodzi, ale jest to filozof sensualny odrzuca dla tego dowodzenie a priori i przyjmuje same dowodzenia a posteriori. Nie chce użyć dowodzeń Karterjusza, który dowodzi bytności Boga swoją ideą, ideą nieskończoności

i doskonałosci (k. 4. r. 10 § 7). „Zdaje mi się, że mam prawo powiedzieć, że to nie jest bardzo dobry sposób do upewnienia się o bytności Boga i zamknięcia ust ateuszom, osądzić rzecz tak ważną jak ta na takiéj tylko podwalinie, obrać za jedyny dowód bytności Boga ideę, jaką niektóre osoby mają o Najwyższéj istności. Powiadam niektóre osoby, bo oczywistem jest, że są ludzie nie mający żadnéj idei o Bogu, są i tacy co mają taką ideę, że lepiejby było, żeby żadnéj nie mieli, a większa liczba ma jaką taką tylko ideę, jeżeli wolno użyć takiego wyrażenia".

Jest to zła metoda przywiązywać się zbyt silnie do tego dowodzenia, a odrzucać wszystkie inne okazy bytności Boga, albo przynajmniéj starać się je osłabić, przeszkadzać aby ich nieużywano, jako słabych lub fałszywych, chociaż w głębi są to dowody tak oczywiste, tak przekonywające o bytności Boga przez roważanie naszego bytu i zmysłowego świata, że myślę, że człowiek rozumny nie może się im oprzeć, bo jak mi się zdaje nie ma prawdy więcéj pewnéj, oczywi-

stéj nad tę, że doskonałości niewidzialne Boga, Jego potęga wieczna, Jego bóstwo stały się widzialnemi w stworzonym świecie, przez wiedzę jaką dzieła dają o swoim Stwórcy... Zaczyna tedy od świata i rozwija ten rodzaj dowodu. Gdyby był chciał Lokk tego tylko dowieść, że okaz a priori nie sam tylko ma wartość i że nie trzeba odrzucać okazu a posteriori, chętniebym przystał do niego; ale on posuwa się daléj i wpada w obłąkanie, które zbić powinienem. Najprzód zaprzeczam, żeby mieli być ludzie tacy co by nie mieli idei o Bogu, i tutaj świetnieje zasługą wielką filozofja kartezjańska i cała filozofja idealna, bo dowodzi, że idea o Bogu, będąc ideą nieskończoną i doskonałą jedności bytu bezwzględnego, nie może nie być w każdym człowieku którego rozum cokolwiek się rozwinął. Potępiam także i drugie zdanie Lokka, które potem powtórzył, to jest, że są ludzie mający taką ideę o Bogu, że lepiejby było gdyby żadnéj nie mieli; zaprzeczam temu że lepiéj jest nie mieć żadnéj idei o Bogu, jak mieć złą i niedoskonałą, jak gdybyśmy nie byli istotami niedoskonałemi ska-

12

zanemi wiecznie na to żeby mięszać prawdę z fałszem. Gdyby żądano samych prawd bez pomięszania z błędami, bardzo mało zostałoby wiar dla ludzkości, a dla nauki bardzo mało teorji. Nakoniec Lokk wyznaje, że największa część ludzi ma ideę o Bogu jaką taką, a jednak to wystarczyło dla Kartezjusza, który na téj jakiéj takiéj idei oparł dowód o bytności Boga. Co jeszcze uważam w Lokku, że chociaż rozwija okaz a posteriori, używa jednak często okazu a priori idealnego, nawet trochę scholastycznego § 8. „Coś istnieje przez całą wieczność" § 3. „Nicość nie mogła dać jestestwa". Chociaż szuka Boga w zewnętrznym świecie, równie jak Kartezjusz od człowieka przechodzi do Boga § 2 i 3. Wszędzie przywodzi i rozwija zasadę przyczynowości, bez któréj nie mógłby jednego kroku zrobić, zewnątrz natury i człowieka. Jedyna następność jaką chcę wydobyć z tych uwag, jest ta, że teodicea Lokka odrzucając okaz a priori, a osadzając się zupełnie na okazie a posteriori, utrzymuje i rozwija daléj zasadniczy chara-

kter filozofji Lokka opierającéj się szczególnie na doświadczeniu zmysłowem i zewnętrznem.

Ztąd oczywistem jest, że teorja Lokka o woli nachyla się ku fatalizmowi, że teorja o duszy nachyla się ku materjalizmowi a teorja o Bogu jest sensualną, zmysłową, łatwo bardzo wpadającą w ateizm (*).

(*) Zobacz Rozmaitości Naukowe i Literackie Tom V. Życie Lokka.

M. Gliszczyński.

OFIARY



Jan. Józefie! wygrałeś 1,000 złotych, może dasz co dla ociemniałego weterana?

Józef. Te składki — to rabunek!

Jan. Tyle już dałeś?....

Józef. Alboż ja warjat? Nic nie dałem!

Jan. I narzekasz!

Józef. Chodzi mi o *ludzkość* całą!....

WYJĄTEK Z UTWORU

pod tytułem:

MYŚL.

. . . . I jest myśl nędzna, płaska, pozioma,
Co wzlotu nie zna ani uniesień:
Chłodna i mglista jak szara jesień —
Chwilowa, słaba, pusta, znikoma.

Mówią, że człowiek — najwyższe dzieło
W natury istot żyjących rzędzie,
Że na nim Bóstwo sobą spoczęło,
Rzekłszy: „Pan tworów, człowiek niech będzie."

Lecz jak ten człowiek, przez duch swój święty,
Myślą panuje czystą i jasną
Po nad niższemi siebie zwierzęty,
Tak téż i ludzie przed ludźmi gasną,

Myślą przed myśli potężnéj siłą:
Ich to nieszczęsnych niebo zmusiło
Być na granicy zwierząt i ludzi;
Grubéj ich myśli nic nie ostudzi,
Bo ona nigdy w płomień nie błyśnie,
Własna ją niemoc ku ziemi ciśnie —
I swem żelazem trzyma objęciem.
Myśli ich słabéj nic nie zapali
Bo oni nigdy wyższem pojęciem,
Obliczem świata nie oddychali...
Sprawa codzienna — prosty warunek
Bytu, istnienia, oto ich koło,
Gdzie idą równo, kładąc na czoło
Myśl swą poziomą i jéj rachunek.
Płaszczy się ona, czołga, nagina,
Razem z chwastami i ze zwierzęty;
Nigdy nie spada, bo się nie wspina
Do czystych granic przestrzeni świętéj.
Piękność w swéj szczytnéj i światłéj szacie
Mdłą jéj błyskotką, celem pogardy:
Śpiąca z nią dusza, jak w skale twardéj,
Budzi się tylko w zysku lub stracie.
. . . .

. . . . Możemy deptać, szperać i trząsać
Niższemi tylko myśli stopniami...
Możemy lekko pląsem jéj pląsać,
Mówić jéj duszą i objawami,

Lecz jakże zgłębić myśl nie zgłębioną
W duchu jéj ducha, kiedy nie wiemy,
Co ona jutro z sobą przyniesie,
Co nam wyboli, lub w nowym kresie
Czém nam ożywi horyzont niemy —
Bóg chyba jeden co mógł rozkazać

Zacząć jéj dzieło, tylko stworzyciel
Rozjaśnić może wielkie pytanie —
On tylko jeden dać rozwiązanie,
Co myśl genjalna i co myśliciel;

Co wyższe bicie w jednakiém łonie,
Co miljon w prochu, jeden w koronie;
Co się za żywioł pali w téj duszy,
Gdy ogniem swoim blask świata głuszy!..

Wié genjusz o tém co go zapala
Do jego czynu i do twórczości,
Wié, czemu błędne dzieło obala;
Lecz któż mu powié, czemu w miłości,

W sile uczucia, wzlotu, objęcia
Skupia on w sobie wszystkie pojęcia,
I bystry, dumny i poświęcony,
Działa za tłumy i za miljony?

Myśl się nam wielka jasno objawia
W liczbie tych czynów, które nam dzieje,
Które nam ludzkość przez swe koleje
Rozpoznać daje i które wznawia
Wspomnieniem, skutkiem, mocą, potęgą,
Przykładem, życiem, uczoną księgą...

Lecz skąd ta światłość jednemu spadła
I czyn — potrzebę jedna odgadła,
Nie dał psycholog, ni nikt na świecie
Objaśnień jasnych. . . . .

. . . .

. . . . Raz kwitły miasta, a w pobliskości
Wysoko wznosząc szczyt swój ponury,
Szarzały nagie opoki góry
I spały ciche jak w snach wieczności;
I stały martwe dziko, samotnie,
Ponure, groźne, czarno omszone,
Może wzgardzone i nielubione,
Zwiedzane rzadko i nieochotnie.
Jako robaczki ludzie wkoło
Żyli jak ludzie — szumnie wesoło,
Bogato, biédno, z troską, bez troski; —
Tak kwitły miasta i kwitły wioski. . .
Wtém, co za trwoga? Co za przyczyna,
Krzyku i zgrozy w kwitnącem mieście?
Jaka to bojaźń w mężu, niewieście?
Miasto się wali! O, już ruina! . . .
Oto z ponuréj, spokojnéj góry
Wulkan wybuchnął i targnął ziemię,
I zburzył miasto — i dymu chmury
I potok lawy z gradem kamieni,
Wyrzucił hardo na ludzi plemię,
Objąwszy przestwór w łono z płomieni!

Widzim płomienie, miasto ginące,
Wiemy przyczyny ziemię burzące;
Lecz gdzie wybuchnie, z czego i kiedy
Wulkan straszliwy, do czyjéj schedy
Skieruje płomień — o tém nie wiemy,
Bo wnętrza ziemi znać nie możemy...

Tak też i łono władz genjalnych,
Skryte jest w dziwnéj rzeczy naturze,
Pełne materji i ciał zapalnych,
Śpiących jak lawa w ognistéj górze.
I wszystek ogień z ludzkości łona
Skupia się w jedno łono człowieka,
Myśl przez miljony nie objawiona,
Wieki swéj chwili tajemnie czeka.

Tajemnie czeka, — w niéj się świat cały
W istnéj swéj prawdzie jasno umieszcza:
Wulkan ludzkości nosi człek mały,
W jednej swéj piersi — on ludzkość streszcza.
Wdzięk, powab, urok, harmonji związek,
Lub źródło siły do jego ducha
Jak do roślinnych dążą gałązek,
Przystając mocno, rodząc zawiązek,
Co od przyrody wskazań swych słucha...
Każde targnięcie świata i życia
Silnie się w żyłach jego odzywa,
I odcień głosu, ruchu, odbicia
Leci do niego, w nim się ukrywa;
O, to pojęte życie, świat ducha,
Bo przez duch tchnięty w formach się rodzi:

Idąc do oka, serca, do ducha,
Jak z łona matki świat w świat wychodzi.
Tam to zadatek genjuszu siły:
Zgoda z początkiem, z naturą świata,
Tam rozwiązany chaos zawiły;
Tam się natura z siłą tą splata...
Tam to jest genjusz wszech-bytu dziecię —
Oto widzicie czemu syn bogów,
Czemu tak straszny dla drobnych wrogów,
Czemu tak rzadki w gromnym świecie!...

I widzę teraz czemu granicy
Znaleźć nie może nikt w państwie myśli,
Czemu się obręb szerzéj wciąż kréśli,
Czemu nie może znieść tajemnicy.
I każda nowa prawda odkryta
Nowych jest tylko tajemnic bramą;
W każdéj z nich jeszcze miljon prawd świta,
Porozumianych z przyrodą samą.

. . . .

* *
*

O! myśli własna, nasza! podboje i wojna
Czasy dni obozowych i działalność zbrojna
Dały ci hart nie starty. Na cnotach Rzymianów,
Wzmacniał się on i kształcił; w przykładach tyta-
Ty widziałeś puściznę: rycerze, hetmani, [nów
I męże dzielnéj rady, szli w wiekach, śpiewani

Przez poetów i bardów . . . .
. . . . W obrębie nauki,
Od nieba aż do ziela, chwytałaś wawrzyny,
Kwitły przez cię i piękno i oblicze sztuki,
Szły z tém twojém znamieniem i córki i syny,
I królowie rycerscy, szlachetni a czuli. . .
Więc znamię twoje—dzielność i moc i hart twar-
Rycerskość dzisiaj jeszcze i uczucie wzgardy [dy;
Dla prywaty w nas kwitnie. Lecz obok téj gwiaz-
Co tłumiła pohańce, mordy i najazdy, [dy,
Jest i inna w nas światłość co głęboko płonie —
Jak święty ogień znicza, w każdem zacnem łonie...
Mimo téj wesołości danéj przez naturę,
Na czole naszych synów tkwią iskry ponure,
I tęsknota i smutek; śród uczty, zabawy,
Przetnie nieraz szum gwarny tak ciężkie westchnie-
I tak jasno zaświeci w oko odbłysk łzawy, [nie,
Albo gorycz z ust zwartych zerwie się na mgnie-
Nieraz ojciec z swym synkiem co mu kolanie [nie!
Jeździ klaszcząc biczykiem, nieraz się zasmuci
I powstanie, siwiznę zawczesną podniesie,
Jakby z głazu wykuty, nieruchomy stanie
I do góry wzrok jasny a tęskny wyrzuci. . .
Hart mu duszy mięknieje a modlitwy słowa
Powtarza cisza smutna, ponura grobowa,
I dziecię się na ojca tak patrzy tak bada,
Obraz mu ten tak mocno do duszy zapada!
Wciąż się z ojca na syna iskra ta przelewa,
Często syn nasz gdy płacze, to płacze i śpiéwa.

I kocha się mąż dzielny w ponurem marzeniu,
I jak gdyby go szukał—w swém jasném wejrzeniu
Mieści ciągłe pragnienie gnębionéj nadziei;
I smucą się synowie, w burzliwéj zawiei
Lubią walczyć z wichrami; smutne córki, żony,
I wesołe a smutne, jakby świat zdwojony.

Józef z Mazowsza.

KONIEC.